EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 23 października 1932 R. | NR. 4

Wyklęta książka

Jak się mieszka u nas i zagranicą

Żywot prawnika

K a r t e l e

Latający Holender

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki"

AUTORZY: GIEŁŻYŃSKI, KMITA, DĄBROWSKI, OKRĘT, LIPIŃSKI, KORNACKI.

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem. Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NĘDZA I BOGACTWO

Centralny Instytut niemiecki badania konjunktur zestawił wielce wymowną tabelę statystyczną dochodów w Rzeszy za rok 1928. Piramida dochodów spoczywa na olbrzymiej szerokiej podstawie, którą tworzą dochody do 1500 marek rocznie (poniżej minimum egzystencji), obejmujące ogółem 58.8% ludności Niemiec. Od 1500 do 3000 marek rocznie zarabia 25.5% mieszkańców, od 3000 do 5000 marek tylko 10.4%, od 5000 do 8000 marek — 3.95%.

Podstawa powyższej piramidy jest w rzeczywistości jeszcze znacznie szersza, jeśli dołączyć 6 miljonów bezrobotnych, których „dochody" sprowadzają się do zasiłków z funduszu bezrobocia.

Na najwyższym, zaostrzonym szczycie piramidy dochodów figurują w znikomej liczbie wielci agrarjusze, obok finansistów i przemysłowców. Wielka własność ziemska w Niemczech, liczy tylko 1.722 przedstawicieli, ale te 0.04% ogółu ludności rolnej posiada 15% wszystkiej ziemi ornej i lasów w kraju. Inaczej mówiąc, 1.722 agrarjuszów posiada tyle ziemi, co 1 miljon drobnych rolników.

Między zaś tymi 1.722 latyfundystami znajduje się 220, którzy posiadają majątki, liczące więcej niż 2000 ha, najbogatszym z nich jest ex-kaizer, którego majątki w Niemczech zajmują około 100.000 hektarów. Około połowy tego (48.300 ha) posiada książę Hohenlohe - Oehringen, prawie tyleż — ks. Hohenlohe - Sigmaringen. Po nich następuje lista kilkunastu przedstawicieli arystokracji niemieckiej, z których każdy posiada od 20 do 40.000 hektarów ziemi.

Gdy się zważy, że w rządzie obecnym Rzeszy decydujące wpływy posiadają junkrzy - agrarjusze, znaczenie powyższych cyfr stanie się tem jaśniejsze.

W WIĘZIENIACH ITALJI

W związku z nadchodzącą dziesiątą rocznicą Marszu na Rzym, pojawiły się w prasie faszystowskiej pogłoski, jakoby Mussolini zamierzał ogłosić amnestję dla wszystkich więźniów politycznych. Najbliższa przyszłość pokaże, czy pogłoski te odpowiadają prawdzie, w każdym jednak razie wypada zaznaczyć, iż od czerwca b. r., czyli od skazania na śmierć Bovone i Sbardellotto, warunki życia więziennego pogorszyły się znacznie, czego najlepszym dowodem jest zakaz dostarczania więźniom politycznym czasopism i książek.

W chwili obecnej znajduje się we Włoszech faszystowskich przeszło pięć tysięcy więźniów politycznych, z których większość skazana na 15 — 20 lat, odsiaduje karę od 1922 roku. Zmniejszenie i pogorszenie jadła więziennego stało się przyczyną wzmożonej śmiertelności więźniów politycznych, którzy coraz częściej popełniają samobójstwo. Na zły stan psychiczny „politycznych" wpływa też w znacznym stopniu ich bezczynność przymusowa, na skutek bowiem specjalnego rozkazu, więźniom politycznym nie wolno pracować.

Wśród więźniów politycznych większość stanowią przywódcy dawnych partyj robotniczych, członkowie stowarzyszenia „Guistizia Liberta", oraz cały szereg dziennikarzy liberalnych, którzy w swoim czasie ośmielili się krytykować metody rządów Mussoliniego. Więźniowie - komuniści poddani są szczególnym obostrzeniom, — część ich odsiaduje karę na straszliwych galerach „Civitavecchia".

Ciekawe domysły snuje emigracyjna prasa antyfaszystowska na temat projektowanej amnestji. Wypuszczając na wolność więźniów politycznych i otwierając granice dla przymusowych emigrantów, osłabi w ten sposób Mussolini ruch antyfaszystowski, nader popularny śród szerokich mas dziesięciu miljonów ogółu emigracji włoskiej, a jednocześnie zyska sobie przychylność zamożnych Włochów amerykańskich, których pomoc materjalna jest w Rzymie poważnie brana w rachubę. Wypuszczenie na wolność przywódców robotniczych byłoby zresztą logiczną konsekwencją obecnego kierunku polityki Mussoliniego, który coraz częściej, pod grozą buntów śród bezrobotnych włoskich obliczanych ostatnio na półtora miljona, pisze i przemawia o „robotniczej Italji", o „Włoszech pracujących" i o wyższości „ojczyzny proletarjatu" nad krajami kapitalistów i rentjerów, którym przepowiada — ‚straszliwy koniec".

NARÓD I ŚWIAT

Lord Cecil zamieścił w ostatnim numerze „Harper's Monthly" następującą charakterystykę „nowego patrjotyzmu".

„Obywatel dzisiejszy świadomy swej przynależności narodowej nie zdaje sobie sprawy z wpływu, jaki wywierają konflikty i wydarzenia międzynarodowe na jego kieszeń i spiżarnię, na jego rodzinę i zawód. Coraz częściej utożsamia się człowieka wyłącznie z jego krajem i z przeznaczeniami narodu, którego jest cząstką. Czyż jednak filozofja życia międzynarodowego usprawiedliwia to utożsamianie jednostki ludzkiej jedynie z narodem? Trzeba nam nowego patrjotyzmu. Sądzę, iż on istnieje. Przekonanie, że szczytne poczucie obywatelstwa świata przeczy w jakiejkolwiek mierze patrjotyzmowi, miłości, a nawet uwielbieniu ojczyzny, to konsekwencja złego rozumienia prawdziwego kosmopolityzmu.

„Nie mogę wyobrazić sobie takiej koncepcji świata przyszłości, któraby nie opierała się na patrjotyzmie prawidłowo pojętym, na patrjotyzmie pod którego bodźcem pragnie człowiek wznieść do najgórniejszych wyżyn godność i wartość swego kraju. Patrjota chrześcijański gardzić powinien takim rządem, który prowadzi politykę gwałtu i niegodziwości w stosunku do innych państw, podobnie jak syn nie może szanować ojca oszukującego czy terroryzującego swych sąsiadów.

„Poczucie braterstwa ogólnoludzkiego zabija ksenofobję narodowościową. Nowy patrjotyzm wzbudzi w jednostkach ludzkich gorące pragnienie mnożenia zasług swego narodu w stosunku do całej ludzkości, — nowy partjotyzm to podstawa zaszczytnej rywalizacji narodów w niesieniu wszelakiego dobra rodzajowi ludzkiemu."

TROSKI O. PIROŻYŃSKIEGO

O. Marjan Pirożyński, redemptorysta, który przed kilku miesiącami wsławił się swym debjutem w roli krytyka literackiego (podręcznik „Co czytać?"), prócz tępienia „niemoralnej" literatury ma na głowie jeszcze inne troski moralnej natury.

Oto wydał świeżo broszurkę uświadamiającą p. t. „Co to jest Akcja Katolicka", stanowiącą debjut (Nr. 1) „Bibljoteczki Akcji Katolickiej". W publikacji tej rozdziera szaty nad tem, że w polskich paszportach *niema już żadnej rubryki na wyznanie*, bo — powiada z ironją — „teraz się takich drobiazgów nie uwzględnia; wszystko jedno, kto kim jest: katolikiem, czy żydem, protestantem, czy prawosławnym".

Wiadomo powszechnie, że paszport nie jest człowiekowi potrzebny do szczęścia, ani doczesnego. ani, tem bardziej, zagrobowego. Dokument ten jest potrzebny tylko policji i innym organom władzy wykonawczej na ziemi. Skoro władza ta uznała obecnie, że rubryka wyznaniowa jej nie interesuje w dokumencie, dla niej przeznaczonym, zdawałoby się, wszystko jest w porządku i niema o czem mówić.

Trudno dociec, na co rubryka wyznania potrzebna jest ks. Marjanowi Pirożyńskiemu, w paszportach... cudzych, boć przecie nie o własny chodzi: nikt go za „lutra" nie bierze.

Jeśli idzie ks. P. o statystykę wyznaniową — są źródła urzędowe, które mu z pewności informacyj nie odmówią.

Jeśli idzie o co innego, to gdyby nawet istniała ta rubryka po dawnemu, autor broszury nie jest przecie ani policjantem, ani celnikiem, żeby miał prawo zaglądać do cudzego paszportu; zresztą za przejście ulicy naukos zapłaci tak samo złotówkę kary członek Akcji Katolickiej, jak każdy inny obywatel. Tu nic nie pomoże paszportowa przynależność do tego lub owego wyznania.

Chyba że idzie ks. Pirożyńskiemu o lekceważenie na ziemiach polskich pewnych tradycyj administracyjnych z czasów niewoli. Istotnie, wówczas w b. Kongresówce dla policji i rządu rosyjskiego rubryka wyznaniowa w paszporcie mieszkańca „Priwislinja" bynajmniej nie była obojętna. Polacy tej dzielnicy dobrze pamiętają fawory, jakiemi władze zaborcze darzyły tych, którzy mieli w paszporcie magiczne słowo „prawosławnyj".

Nie jest wyłączone w czasach dzisiejszych przypuszczenie, że o. Pirożyński chciałby, drogą analogji, zapewnić specjalne fawory magicznemu słowu „Katolik". Jeśli tak to doprawdy szkoda było fatygi w krytyce dzisiejszych paszportów polskich.

Nie da rady, księże dobrodzieju. Konstytucja. Równouprawnienie wyznań. Trudno!

ZAPÓŹNIONY TYTUŁ

W dekrecie potępiającym książkę Henryka Łubieńskiego, (o której piszemy w numerze niniejszym) arcybiskup Kakowski wymienia szereg swych tytułów, między innemi: „Prymas Królestwa Polskiego".

Istnieje Rzeczpospolita Polska. Królestwa Polskiego niema. Należałoby to przecież wziąć pod łaskawą uwagę.

Zmienia się dużo rzeczy na świecie, zmieniać się też muszą tytuły...

„Epoka" wyrzeka się jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich.

WYKLĘTA KSIĄŻKA

Dr. Aleksander Kakowski, z Bożego zmiłowania i Stolicy Apostolskiej łaski Św. Rzymskiego Kościoła Presbyter Kardynał Tyt. Św. Augustyna, Arcybiskup Kościoła Metropolitalnego Warszawskiego, Prymas Królewstwa Polskiego, zabronił wiernym czytać, przechowywać, szerzyć i bronić ustnie czy piśmiennie poglądów wyrażonych w wydanej w Warszawie książce Henryka Ignacego Łubieńskiego p. t. „Droga na wschód Rzymu".

Cóż to za dzieło kacerskie i kim jest autor, w tak niezwykły a uroczysty sposób potępiony przez prymasa Królestwa Polskiego?

H. I. Łubieński jest publicystą katolickim i konserwatywnym, stałym współpracownikiem „Czasu" i „Dnia Polskiego". Nie można go więc posądzić ani o wrogość, ani nawet obojętność względem kościoła katolickiego. Napisał on dziełko, w którem na podstawie badań historyków bezspornie katolickich, jak Bobrzyński, ks. Załęski, Szujski, ks. biskup Likowski, przedstawia dzieje Unji Kościelnej na ziemiach litewsko-ruskich dawnej Rzeczypospolitej i politykę w tym względzie Watykanu, a następnie— również opierając się na źródłach wyłącznie katolickich — charakteryzuje ruch neo-unicki, szerzony od kilku lat na naszych kresach.

Autor przypomina, że myślą przewodnią statystów polskich 16-go i 17-o wieku, popierających Unję, było przecięcie związku religijnego Rusi z Moskwą i przeciwstawienie jej Kijowa, jako niezależnego centrum religijnego. Niestety, Unja nie objęła całego kościoła ruskiego; pozostali liczni dysunici, zrazu wiernie stojący na gruncie państwowości polskiej, jak ks. Konstanty Ostrogski z Ostroga i hetman Wyhowski, dopiero później, wobec wyraźnego popierania przez Polskę kościoła unickiego, ciążący coraz wyraźniej ku Moskwie.

Polityczne skutki Unji dla Rzeczypospolitej były opłakane: wprowadziła ona nieustający ferment i gorszące walki religijne na ziemiach wschodnich, osłabiła tam powagę państwa polskiego, wyraźnie zwróciła przeciw niemu znaczną część obywateli, uważających się za pokrzywdzonych, rzuciła ich w objęcia Moskwy i dostarczyła jej pretekstu do interwencji w wewnętrzne sprawy Polski.

Skoro zaś dysunici polscy otworzyli bramy Rzeczypospolitej dla carów, unici nie wykazali najmniejszego oporu i przywiązania do Polski. „Gdy po drugim rozbiorze arcybiskup Sadkowski wydał list pasterski do duchowieństwa i ludu ruskiego, w którym wzywa, „aby bez bojaźni powracali w objęcia prawosławnej cerkwi" i kazał księżom list ogłosić w kościołach unickich, wszyscy to polecenie spełnili. Z biskupów, ani jeden nie miał odwagi nawet zaprotestować". Cała Ukraina i Podole wyrzeka się Unji po upadku Polski dobrowolnie, pod presją czysto moralną, bez konieczności uciekania się do gwałtów. Unja, pozbawiona pomocy państwa, okazała się niezdolną do życia.

To samo powtórzyło się w prowincjach północnowschodnich: „Dzieje likwidacji Unji na ogromnym obszarze unickiej djecezji litewskiej, obejmującej teren od Wilna, aż do Wołynia, od Grodna do Mohylewa nad Dnieprem — pisze W. Charkiewicz, — współpracownik „Słowa" wileńskiego — dzieje te nie są bogate w krwawe sceny walki unitów... Unja

padła tu cicho". Tak, że po roku 1839 „przy Unji pozostała pod berłem rosyjskiem zaledwie jedna djecezja chełmska... Tylko w tej djecezji Kościół Unicki okazał po raz pierwszy godną podziwu wielką odporność wobec prześladowań i prób rozkładu od wewnątrz".

Ale oporną była sama ludność, w znacznym stopniu spolonizowana i przepojona kulturą zachodnią; podtrzymywali ją w tej postawie patrjoci polscy i księża obrzędu łacińskiego; natomiast miejscowe duchowieństwo unickie — z bardzo małemi wyjątkami, — poddało się łatwo prawosławiu, sprowadzani zaś przez rząd rosyjski z Galicji kapłani uniccy stali się najgorliwszymi rusyfikatorami i bojownikami prawosławia.

Mała odporność unitów wobec prawosławia objawiła się też podczas ostatniej wojny: w lutym 1915 r. miał Eulogjusz na terenie Galicji 100 parafji, w marcu już 152, w końcu kwietnia — 200. W maju nastąpił odwrót wojsk rosyjskich, a wraz z niemi dobrowolnie wyruszyło 60 kapłanów unickich. Te same zjawiska słabości wobec cerkwi prawosławnej wykazują dzieje kościoła unickiego na Rusi Zakarpackiej.

„Unja Brzeska, oglądana w perspektywie historycznej, okazała się więc dziełem nietrwałem — oto pierwsza konkluzja p. Łubieńskiego. Jest to zupełnie zrozumiałe: z Zachodem łączy ją wyznanie wiary, dogmat, abstrakcja niepojęta dla ogółu; ze Wschodem, z prawosławiem — wspólny język, obrzędowość, kalendarz, wszystkie rzeczy widoczne, zrozumiałe, głęboko zakorzenione w sercach i pojęciach ludu.

Dzisiejsza akcja nowo-unijna popełnia te same błędy. Stara się ona jaknajbardziej zewnętrznie upodobnić do prawosławia; księża noszą brody, „riasy", krzyże na piersiach, przemawiają po rosyjsku lub staro-słowiańsku, mają prawosławną liturgję, słowem zachowują drobiazgowo cały obrządek rosyjsko-synodalny. Ułatwia to bardzo przyciąganie wiernych, ale też i ich odpływ. Przejście z prawosławia do kościoła „wschodnio-słowiańskiego", „rosyjsko - katolickiego", czy „bizantyjsko - słowiańskiego" (bo nie ustalono jeszcze nawet nomenklatury) nie jest w pojęciu ludności zmianą religji, lecz jedynie zastąpieniem jednego kapłana — niesympatycznego z jakichś względów — innym. Odbywają się też ciągłe wędrówki parafji od jednego wyznania do drugiego, tam i z powrotem, wytwarza się wrzenie religijne po wsiach, dochodzące aż do krwawych walk o świątynie, jak w Duhudowie, w Żabczu i t. d.

Archimandryta Filip Morozow, którego przystąpienie do Unji wywołało wielkie wrażenie w całym świecie katolickim i który — dla tem większego podniesienia tego faktu — został przyjęty na uroczystej audjencji u papieża, po powrocie do cerkwi mógł napisać, że „nigdy nie wyrzekał się prawosławia".

Słowem nasze kresy wschodnie znów stają się terenem zamętu religijnego, jak w 17-ym wieku. Że to szkodzi państwu — nie potrzeba dowodzić. Mamy na wschodzie przeszło 3 miljony obywateli prawosławnych. Pierwszem zadaniem Rzeczypospolitej było przekonanie ich, że Polsce wcale nie chodzi o odebranie im wiary ojców, lecz o takie zorganizowanie pod względem kościelnym, aby nie byli uzależnieni od władzy obcej. W tym celu restytuowano hierarchję prawosławną, zniszczoną przez wojnę i rewolucję bolszewicką, powołano do życia seminarja duchowne i wydział teologji prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim, przeprowadzono w sposób kanoniczny autokefalję cerkwi w granicach polskich.

Nie poszło to łatwo, gdyż działacze rosyjscy, świeccy i duchowni, słusznie widzieli w tym programie odrabianie szkód, wyrządzonych Polsce polityką Piotra I i Katarzyny II. Pierwszy metropolita warszawski, Jerzy, życiem zapłacił za budowanie niezależnej od Moskwy, polskiej cerkwi prawosławnej. Obecna akcja unijna, podkopująca na naszym terenie prawosławie, paraliżuje politykę zjednywania go sobie tolerancyjnością, przychylnością i opieką. Każe ona znów nieufnie patrzeć na „lachów" i rozglądać się za pomocą zewnętrzną. Ofiarowują ją chętnie wszystkie imperjalistyczne żywioły rosyjskie — czerwone, czarne i białe. Nie próżnuje Sergjusz, posłuszny Sowietom, ani Antonjusz w Jugosławji, ani Eulogjusz w Paryżu.

Może ktoś na to odpowiedzić, że gwarancje wolności sumienia w Polsce przesądzają możność prowadzenia propagandy religijnej przez wszystkie wyznania, że wskutek tego Unja też ma prawo do bytu i rozwoju. Naturalnie, tylko w tej walce ideowej powinno się przestrzegać zasad lojalności. Otóż cerkiew prawosławna zarzuca unitom, że dopuszczają się podstępu i oszustwa, przywłaszczając sobie zewnętrzne jej formy i świadomie wprowadzając lud w błąd. „W jej oczach — słusznie zauważa senator Skirmunt — Kościół Katolicki był zawsze otwartym przeciwnikiem, Kościół Unicki — zdradliwym i podstępnym zaprzańcem". Przeciwnika można nie kochać, ale go się szanuje, — „odszczepieńca, zdrajcę nienawidzi się całą siłą". Nienawiść ku Unji przenosi się na Polskę, która umożliwia jej istnienie, bez której nie byłoby tego intruza.

I gdybyż przynajmniej straty polityczne, ponoszone przez Polskę wśród prawosławnych, rekompensowały się dużym i trwałym nabytkiem sympatji u Unitów. Ale ruch ten jest nikły, nie postępuje naprzód, zdradza wszystkie cechy sztuczności, a nadto odbywa się pod hasłem rusyfikacji. W połowie 1927 r., według ks. biskupa Przeździeckiego, było: 14 parafji unijnych urządzonych, 7 — w stadjum przygotowania, 25 kapłanów i 20 tys. wiernych; w r. 1929 K. A. P. podaje: 26 parafji, 32 księży, 16.500 wiernych; w roku 1932 miało być — według obliczeń ks. Urbana S. J. — 32 parafji z 20 tysiącami wiernych. Czyli od pięciu lat kręcimy się wciąż w tych samych granicach cyfrowych. Wysiłek natomiast propagandowy — moralny i pieniężny — jest olbrzymi: mianowano dwóch biskupów obrządku wschodnio-słowiańskiego: generała ojców Marjanów, Piotra Buczysa, z siedzibą w Rzymie i redemtorystę — ukraińca Mikołaja Czarneckiego w charakterze wizytatora apostolskiego parafji wschodnio-słowiańskiego obrządku w Polsce; powierzono te parafje specjalnej pieczy biskupów obrządku łacińskiego; powołano do pracy misyjnej dla obrządku wschodniego zakony: Jezuitów, Redemtorystów, Marjanów, Studytów, kilku Bazyljanów i siostry msjonarki N. Serca Jezusowego; założono w Dubnie seminarjum wschodnie, podniesione do godności Kolegjum Papieskiego; utworzono w Albertynie pod Słonimem nowicjat jezuicki, również dla przygotowania misjonarzy tego obrządku; w Instytucie Mi-

syjnym w Lublinie i we wszystkich seminarjach kresowych wprowadzono wykłady liturgji wschodniej dla zgłaszających się do pracy w tym obrządku kleryków; zwołuje się perjodyczne konferencje w sprawie Unji w Pińsku, wydaje się dla jej propagowania kilka pism w języku rosyjskim, wśród których prym dzierży: Albertynskaja Obitiel Otców Jezuitow grecko-słowianskowo obriada" i „Modlitosłow dla christjan greko - słowiańskawo obriada". Wszystkie te cele szczodrze wyposażone są przez Watykan, choć idą też na nie fundusze djecezji kresowych, pochodzące ze skarbu państwa lub od ludności polsko-katolickiej.

Mizerny wynik tak intensywnej akcji tłumaczy p. Łubieński tem, że „nie miejscowa ludność, lecz tylko zewnętrzny, często nawet zagraniczny czynnik lub też z urzędu do tej pracy powołany pragnie dalszego rozwijania akcji wschodniej".

Rosyjski charakter tej akcji, szkodliwy dla państwa polskiego i obcy miejscowej ludności, złożonej z Ukraińców, czy Rusinów, z Białorusinów, czy Poleszuków, wreszcie Polaków ,tylko nie z Rosjan, pochodzi stąd, że ma ona właściwie dalsze widoki — na Rosję rdzenną. Nasze kresy są jedynie bazą, bramą wypadową na Moskwę. Ale żeby akcja ta miała szanse powodzenia we właściwej Rosji, musi zawczasu nabrać cech rosyjskości, musi przygotować literaturę w języku rosyjskim, działaczy, władających tym językiem, musi być rosyjską z ducha i ciała.

Jest to konsekwentna kontynuacja polityki Rzymu z XVI, XVII i XVIII wieku. „Już Possevino w listach do Grzegorza XIII wskazywał, że nawrócenie Rusinów, znajdujących się pod panowaniem Polski, jest niezbędnym etapem na drodze do pojednanie z całym prawosławiem rosyjskim'. Dlatego wówczas nietylko nic nie zrobiono, aby lud unicki przyciągnąć do obrządku łacińskiego, chociaż łatwo można było tego dokonać, co widać ze zlatynizowania się magnatów i szlachty ruskiej, ale wręcz zakazano przechodzenia z obrządku wschodniego na rzymski (dekret Urbana VIII z 1624 r., encyklika Benedykta XIV z 1755 r.).

Papiestwo przez Polskę zbudowało pomost do Moskwy. Tymczasem skorzystała z niego Moskwa dla zagarnięcia połowy Rzeczypospolitej. Dzisiaj Watykan tą samą podjął pracę.

I nie można mu się dziwić. Idea połączenia kościołów chrześcijańskich w jedność konfesyjną jest odwiecznym programem Rzymu i musi być realizowana przy każdej okazji; uniwersalizm kościoła nie liczy się z interesami partykularnemi państw i narodów; dąży ku swemu celowi wbrew wszelkim przeszkodom. W chwili obecnej, gdy cerkiew prawosławna jest w upadku, w rozkładzie, w pognębieniu, szanse są większe, niż kiedykolwiek. Musimy to lojalnie przyznać.

Ale z tego nie wynika wcale, aby marsz Rzymu na Wschód miał odbywać się kosztem Polski, jak za Batorego, za Zygmunta III, za Sobieskiego. Wiemy, że zapłaciliśmy za to rozbiorami i płaciliśmy aż do utworzenia gubernji chełmskiej na naszych oczach.

Czegoś też nauczyliśmy się z klęsk wieków minionych. Chodzi tylko o uprzytomnienie sobie tego procesu dziejowego. Robi to właśnie doskonała książka p. Łubieńskiego: „Droga na Wschód Rzymu". Jeśli zawiera ona jaki błąd, to tylko ten jeden w tytule: powinno być — „Droga Rzymu na Wschód", boć nie chodzi tu przecież o zwiedzanie wschodniej dzielnicy Wiecznego Miasta, lecz o rozciągnięcie jego wpływów na Euroazję.

W sposób jasny, logiczny, przekonywujący, operując bezspornym materjałem historycznym i współczesnym, uwydatnia p. Łubieński, że Polska racja stanu nie leży w propagowaniu Unji, lecz w upaństwowieniu prawosławia. Nie wyciąganie macek unijnych ku Moskwie, lecz odgrodzenie od niej cerkwi polskiej — oto nasz program.

Jest on djametralnie przeciwny polityce Watykanu, która chce „z prawosławnych Ukraińców i Białorusinów zrobić Rosjan — katolików wschodniego obrządku".

P. Łubieński nie doprowadza swych wywodów do stwierdzenia przeciwieństwa interesów polskich i watykańskich, ale wynika ono nieubłaganie z całej jego rozprawy; trudno bowiem uwierzyć w podjętą przez niego próbę wyperswadowania Stolicy Apostolskiej wielowiekowej taktyki zbliżenia do Moskwy. I tu rozgrywa się tragedja w duszy tych, co utożsamiają polską rację stanu z watykańską. Niema między niemi zgodności. Kto — jak p. Łubieński — stanie na gruncie interesów Rzeczypospolitej, ten naraża się na konflikt z Kościołem. Dlatego „Droga na Wschód" znalazła się na indeksie ks. kardynała Kakowskiego.

Na szczęście zakaz czytania tej cennej książki ma dla wierzących moc obowiązującą jedynie na obszarze archidjecezji warszawskiej. Przyczyni się też bezwątpienia do rozpowszechnienia jej poza obrębem jurysdykcji arcybiskupa warszawskiego. Będzie to miało doniosłe znaczenie, gdyż omawiane tu dziełko znakomicie wyjaśnia jedno z najważniejszych naszych zagadnień państwowych — politykę wyznaniową na kresach wschodnich.

W każdym bądź razie zarządzenie ks. Kardynała nadaje mało jeszcze znanej pracy p. H. I. Łubieńskiego tak wielki rozgłos, jakiegoby się nie osiągnęło najkosztowniejszą reklamą. A spopularyzowanie pożytecznej książki — to wielka zasługa.

Witold Giełżyński

JAK SIĘ MIESZKA U NAS I ZAGRANICĄ

Corocznie w Polsce przybywa przeszło pół miljona ludności, liczba zawieranych małżeństw przekracza 300 tys. rocznie, ruch budowlany skutkiem przesilenia gospodarczego prawie całkiem zamarł, a pomimo to, zwłaszcza w większych miastach, gdzie mieszkania są droższe, wolnych lokali jest pełno.

Zarówno przybywająca ludność, jak zwłaszcza zawierane małżeństwa, głównie zajmujące osobne lokale, mieszkać gdzieś muszą, a jeżeli z braku niezbędnych po temu środków nie wynajmują oddzielnych mieszkań, to z konieczności zamieszkują lokale, w których już mieszkają inni. Tym sposobem zaludnienie mieszkań, zwłaszcza po miastach, staje się coraz większe, a nawet tak duże, że *na Zachodzie nie spotykamy się nigdzie z czemś podobnem.*

Aby przedstawić panujące u nas w tej mierze stosunki, rozejrzeć należy oddzielnie wieś i miasto, a następnie porównać z położeniem na Zachodzie. Okaże się zatem przedewszystkiem, że im dalej na wschód, tem gorzej.

Według wyników badań Gł. Urzędu Statystycznego w woj. zachodnich większe, ponad 3-ech izbowe mieszkania stanowią około 50% ogółu mieszkań wiejskich, w woj. centralnych — od 5.5 do 17.2%, we wschodnich — 6 do 7% i w południowych — 3.5 do 8.3% (oprócz Śląska Cieszyńskiego, gdzie odsetek ten wynosi 21.2%).

Wysoki odsetek większych mieszkań — 17.2% — ma woj. białostockie, na terenie którego istnieje dużo wsi szlacheckich, zamieszkałych przez t. zw. dawniej szlachtę szaraczkową. Poza woj. zachodniemi zatem ogromna większość mieszkań na wsi składa się zaledwie z 1 — 2 izb. *W całej Polsce (bez woj. zachodnich) mieszkania jedno - izbowe wynoszą 64.2% ogółu mieszkań na wsi*, 2-izbowe — 28.3%, w woj. zachodnich — 16.4 i 38.4%. (W Saksonji (w r. 1927) — 1.5 i 22.5% w Anglji — 0.7 i 6.2%).

Gdy w Polsce (bez woj. zachodnich) 4.9% mieszkań jednoizbowych a 7.7% dwuizbowych jest zajętych przez więcej niż jedno gospodarstwo, to już w woj. zachodnich odsetek ten spada do 2.1 i 2.7%.

W 11.7% mieszkań jednoizbowych mieści się po 2 osoby, w 14.1% — po 2 — 3, w 17.9% po 3 — 4 i w 56.3% po 4 i więcej osób. W 31.0% mieszkań dwuizbowych mieści się po 2 osoby na izbę, w 33.8% po 3, w 23.5% po 4 i w 11.7% ponad 4 osoby, przyczem 14.9% całej ludności wiejskiej mieści się po 2 osoby na izbę, 19.4% — po 3, 18.9% po 4 i 46.8% ponad 4 osoby. *Połowa zatem naszej ludności wiejskiej przebywa stale w ciasnocie, która nie pozwala na czystość powietrza i zachowanie przepisów hygjeny.*

Jak duże zachodzą różnice w tej mierze nawet u nas, dowodzi porównanie woj. pomorskiego i poleskiego: w pierwszem mieszkania jednoizbowe wynoszą 15.6%, a w drugiem 82.0% ogółu mieszkań.

W Polsce w 78 powiatach przypada po 4.5 — 4.9 osób na izbę w jednoizbowem mieszkaniu i w 93 powiatach po 5 do 5.5 osób, w 135 powiatach przypada po 2.8 — 3 osób na izbę w mieszkaniach dwuizbowych, przyczem *przeciętnie w całej Polsce przypada na mieszkanie jedoizbowe po 5, a na dwuizbowe po 2.9 osób na izbę.*

Żeby dać pojęcie o przeludnieniu mieszkań na wsi, dość powiedzieć, że u nas (bez woj. zachodnich) 69.5% ludności wiejskiej mieści się po 3 i więcej osób na izbę (a nawet 50.4% ponad 4 osoby), w woj. zachodnich już tylko 33.1%. W Saksonji 2.1% a w Anglji 0.7%.

Przechodząc z kolei do miast, należy na wstępie zaznaczyć, że myliłby się, ktoby sądził, że w miastach naszych, mieszczących władze i urzędy, banki i wszelkiego rodzaju instytucje, jest dużo lepiej. Małe mieszkania i ich przeludnienie jest właściwością, zarówno wsi, jak miast.

Mieszkania jedno, dwu i trzyizbowe, podobnie, jak i na wsi, mają ogromną przewagę w naszych miastach nad większemi. W Warszawie naprz. jest icn 64.4%, w Łodzi 79.6%, we Lwowie 59.4%, w Krakowie 65.4%, w Poznaniu 36.5%. Miasta mniejsze (poniżej 20 tys. mieszkańców) mają ich 73.6%, większe (ponad 20 tys. m.) — 68.4%, woj. zachodnie odpowiednio 46.8 i 35.3%. W Niemczech miasta mniejsze mają takich mieszkań 18.5%, większe— 19.5%, w Szwajcarji (ogółem) — 5.2%, i t. d. W mieszkaniach tych przebywa po parę gospodarstw, i to nie osób samotnych, które stanowią tylko 1.1%, lecz rodzinnych, stanowiących 6.0% (wyłącznie rodzinnych) i 5.1% mieszanych gospodarstw (samotnych i rodzinnych), w mieszkaniach zaś tych przebywa przeszło 60% ludności miast naszych. Wogóle zaś 6.2% mieszkań jednoizbowych i 7.3% dwuizbowych w mniejszych miastach naszych jest zajętych przez więcej niż jedno gospodarstwo, a 8.4% i 10.6% w miastach większych. W woj. zachodnich jest znacznie lepiej, gdyż miasta małe dają odsetki 1.3 i 1.7%, a duże 3.0 i 2.7%.

Jak widzimy w całej Polsce w miastach większych jest pod tym względem gorzej, aniżeli w małych. W Niemczech mamy odsetek dla miast małych 0.9% (jednoizbowe) i 1.4% (dwuizbowe), w miastach większych — 0.9 i 2.4%. W Anglji, włączając nawet trzyizbowe mieszkania, jest tylko 1.3% mieszkań z paroma gospodarstwami.

Wobec takich warunków nic dziwnego, że *w miastach małych 54.5% mieszkań jednoizbowych zajętych jest przez 3 i więcej osoby na izbę, a w dużych — 48.4%*, przeciętnie zaś w miastach mniejszych w mieszkaniach jednoizbowych przypada na izbę 3.9 osoby, w dwuizbowych — 2.3, w miastach większych — 3.7 i 2.3. W miastach mniejszych 40.9% i w większych 33.9% ludności mieszka po trzy, cztery i więcej osób na izbę, w woj. zachodnich tylko 17.0 i 9.7%. W Niemczech 2.6 i 1.8%, w Anglji (ogółem) — 1.1%.

W Anglji, gdzie jednoizbowe mieszkania należą do rzadkości, są one zamieszkiwane najwyżej przez 2 osoby, w Niemczech, w małych miastach, liczba ta wzrasta do 2.5, w woj. zachodnich mamy już 2.6 — 3 osób, a jeszcze dalej ku Wschodowi z reguły prawie występuje liczba 4 osób. Na Zachodzie mieszkania te zajmowane są bądź przez jedną osobę, bądź co najwyżej przez małą rodzinę, u nas stanowią prawie wyłącznie typowe mieszkanie rodzin robotniczych i rzemieślniczych, często nader licznych. Mieszkania większe nie wykazują już tego przeludnienia, w 2-izbowych przypada 1.5 — 2.5 osób na izbę, w 3-izbowych — 1.5 — 1.8 osoby, dalej zaś *im większe mieszkanie, tem mniej osób przy-*

pada na izbę, co jest zrozumiałe, ponieważ mieszkania te są zajmowane przez warstwy zamożniejsze.

Parę słów należy się jeszcze mieszkaniom w suterenach i na poddaszach. Okazuje się, że *17.8% mieszkań jednoizbowych urządzono na poddaszach i w suterenach*, dwuizbowych — 5.6%, trzyizbowych —3.3% i czteroizbowych — 1.4%, przyczem *w suterenach (i piwnicach) mieszka 3.3% ludności naszych miast, na poddaszach — 5.1%, razem 8.4%*, ponieważ zaś mieszkania te zajmowane są prawie wyłącznie przez pewne tylko warstwy ludności, przeto dla nich odsetek ten będzie oczywiście znacznie wyższy.

Różnice przytem w poszczególnych miastach są bardzo duże, tak naprz. Łomża ma 26.4% mieszkań w suterenach i na poddaszach, Płock — 24.2%, Kalisz — 22.6% i t. d., wogóle są one najwięcej rozpowszechnione w miastach województw centralnych, Warszawa liczy ich 8.8%, Poznań tylko 6.3%. O warunkach zdrowotnych tych mieszkań, zwłaszcza w suterenach i piwnicach, rozwodzić się nie trzeba.

Cechą osobliwą małych mieszkań jest jeszcze i to, że w nich nader często odbywa się praca zarobkowa. W jednoizbowych mieszkaniach liczba ta wynosi od 3.4% (w Częstochowie) do 10.9% (w Pabjanicach). W mieszkaniach tych oczywiście brak jest całkiem izby wyłącznie mieszkalnej. W lokalach dwuizbowych praca zarobkowa odbywa się w jednej, druga służy za właściwe mieszkanie, chociaż nie brak wypadków, kiedy w obu izbach odbywa się praca, a izby mieszkalnej niema wcale. W Grudziądzu takich mieszkań jest 73%, w Kielcach 53%, w Chełmie 49.3%, w Inowrocławiu 47.6%, Grodnie 38.7%. W mieszkaniach trzyizbowych w 8.3% niema izby mieszkalnej, ponieważ we wszystkich odbywa się praca zarobkowa, 8.5% ma jedną izbę mieszkalną, a 83.2% — dwie. W mieszkaniach tych zatem istnieją pomyślniejsze warunki zdrowotne, aniżeli w dwuizbowych.

Reasumując wszystko powiedziane, należy dojść do wniosku, że dominującym u nas typem mieszkań tak na wsi, jak w mieście, są jedno i dwuizbowe. W miastach warstwa robotnicza żyje prawie wyłącznie w tych mieszkaniach, co zwłaszcza uderza w Warszawie, gdzie odsetek mieszkań jednoizbowych idzie nieodłącznie w parze z odsetkiem ludności robotniczej danej dzielnicy, tak naprz. w obwodzie pierwszym ludności robotniczej jest 46.1%, mieszkań jednoizbowych — 31.4%, w drugim — 56.3 i 40.9%, w ósmym — 73.8% i 48.1%, w dziewiątym — 78.2% i 74.8% i t. d.

Przyrastająca ludność i nowo zawierane małżeństwa nie zajmują wolnych mieszkań, a tembardziej nowych, których niewiele się buduje, lecz żyją w dawnych lokalach już zamieszkałych. Następuje zgęszczenie ludności, które z roku na rok staje się coraz większe, a w okresie kryzysu osiągnęło stopień nigdzie na Zachodzie nie do pomyślenia.

Z. Kmita

„Epoka" daje swobodny wyraz wszystkim kierunkom myśli humanitarnej.

ŻYWOT PRAWNIKA

PAMIĘCI EUGENJUSZA ŚMIAROWSKIEGO

Inni to już uczynili lub uczynią gorętszem i bardziej bezpośredniem słowem. Wspomną drogą tak wielce, — jedną z najpiękniejszych postaci przedwojennego pokolenia: bogaty umysł, wysoką kulturę ducha i serca, genjalny dar logicznego myślenia i przekonywania, świetną, a niesztuczną, z serca i z głębi przekonania płynącą wymowę, która się wydawała podobną muzyce, pod jego palcami śpiewającej czystemi, szlachetnemi tony.

To wszystko razem zespolone, co tworzyło postać tak niepowszednią, iż niesposób obronić się wrażeniu pustki niezapełnionej po jej odejściu, znalazło swój doskonały wyraz w działalności prawnika-obrońcy. Na tem polu dosłużył się chwały, na niem więcej, niż blasków sławy, zbierał cierni. Tem żył i tu zginął. Zamiast pośmiertnego wspomnienia — czyż nie słuszniej powiedzieć o „blaskach i cierniach życia prawnika", o tem co stanowiło istotę walki i cichą tragedję każdego, kto zetknąwszy się z nią raz, czuje się nazawsze poślubionym tej walce i od niej nigdy już serca oderwać nie może.

Wielka dokonała się zmiana w psychice społeczeństwa po odzyskaniu niepodległości. Społeczeństwo w samej podstawie swego życia skrzywdzone — miało poczucie krzywd indywidualnych. Rządzone przez obcych metodami gwałtu i bezprawia, było na nie wrażliwem. Szlachetność postępowania, humanitaryzm — były jeszcze pojęciami o żywej treści, nie skazanemi na złożenie do lamusa, jak stare, wyświechtane rekwizyty.

Wojna, a jeszcze bardziej czas powojenny odmienił bardzo i bardzo wiele.

Wolność człowieka przestaje być cennem dobrem, godnem ochrony. Zbyt wiele z tego, co było złem, gdy je czynili zaborcy, przestaje niem być, gdy je czynimy sami. Zbyt mało odbiegamy od wzorów, jakie oni nam pozostawili, a gdy od nich odbiegamy — często to czynimy w odwrotnym kierunku.

Nowe czasy nie są czasami sprawiedliwości, ani dobą humunitaryzmu. Nikt sercem nie towarzyszy walce o sprawiedliwość, nikogo mocno nie zaboli cudza krzywda, nikt dreszczu nie poczuje na myśl o murach więzienia. Ten, kto za zadanie swego życia wybiera walkę o sprawiedliwość, musi pozostawać samotnym — i dobrze, gdy mu towarzyszy tylko obojętność.

Nie wiem czemu, ale podczas gdy wszelkim próbom sterowania państwem z reguły towarzyszy nieufność, hiperkrytycyzm nawet, — to gdy chodzi o wykonawców sprawy rządzenia, panuje powszechny brak wszelkiego krytycyzmu, poprostu — pojęcie o niepatrjotyczności wszelkiego krytycznego poglądu. To samo społeczeństwo, w którem zawsze znajduje się większość niezadowolona z rządzących, nigdy nie chce z odrobiną nieufności spojrzeć na wykonawców: czy aby odpowiadają oni całkowicie tym pojęciom, jakie z doświadczeń niewoli wynieśliśmy o sposobie wykonywania władzy? Wprost herezją wydaje się wszelka myśl, podająca w wątpliwość, że władza starosty, policji, czy urzędu skarbowego lub celnego może być źle wykonywana. Można źle mówić o ministrze, wara — o najmizerniejszym z jego podwładnych.

W tych warunkach któż chce rozumieć, że codzienna sprawa wymiaru sprawiedliwości może być polem do szlachetnej walki? Wydaje się — i nietylko przeciętnemu, „człowiekowi z ulicy" — że człowiek walczący o sprawiedliwość: obrońca — musi być specjalistą od wykręcania przed odpowiedzialnością łotrów wszelkiego gatunku i kalibru. Wydaje im się, że jeżeli wydarzają się omyłki, to są to wypadki wyjątkowe, z reguły zaś ten, kogo przyprowadzają przez kratki sądowe, jest już napiętnowanym łotrem, któremu na sali sądowej trzeba tylko publicznie zakwalifikować jego już stwierdzoną winę. Bo cały ten aparat wykonawczy, przez który wiedzie droga przed stół sędziowski: policja, śledztwo, prokuratura — nie mogą ani się mylić, ani tembardziej, rozumować i działać niesłusznie, bo— są nasze.

Niema tępego biurokraty — bo on jest nasz. Niema złego policjanta, niema jednostronnego sędziego śledczego, formalisty prokuratora — bo wszyscy są nasi.

Nigdy i nigdzie aparat policyjny i sądowo-śledczy nie jest doskonałą, niemylnie działającą maszyną. Przeciwnie, jest on skonstruowany jednostronnie, w kierunku ścigania i oskarżania, albowiem u kresu, w ostatecznem stadjum procesu — przed sądem — znajduje on przeciwwagę w instytucji obrony.

Do tej jednostronności, wynikającej z samej konstrukcji urzędów, dołącza się jednostronność zawodowa. Urzędnik, wykonujący stale czynność ścigania, musi z konieczności dostrzegać wszędzie winę i przestępstwo. Oskarżyciel, który przez całe lata codziennie i wyłącznie oskarża, ma nietylko skłonność dopatrywania się we wszystkiem cech przestępstwa, lecz nadto i czysto urzędniczą skłonność w razach wątpliwych spychania trudu rozstrzygania na sąd: niech sąd to rozstrzyga i zadecyduje.

Trzeba bowiem pamiętać, iż każdy z urzędujących w zakresie wymiaru sprawiedliwości: policjant, sędzia śledczy, prokurator — w znacznej większości stykają się z pospolitem, niezłożonem, oczywistem przestępstwem i również pospolitemi, oczywistemi, niezdarnemi wykrętami. Wszyscy oni przyzwyczajają się do tego, iż przez ich ręce przechodzi masa pospolitego zła, które przesyła się do sądu — na skazanie. Nic dziwnego, że im trudno dostrzegać wprost przeciwne przypadki. Przecież wiadomem jest, że nawet psychika sędziów pierwszej i drugiej instancji jest różna. Ci pierwsi muszą w codziennej swej pracy wydawać mnóstwo prostych i niebudzących wątpliwości wyroków skazujących. Ci drudzy — mają do czynienia z pewną naturalną selekcją, albowiem tamte proste przypadki nie przychodzą już przed ich forum sądowe. Ich nastawienie jest całkowicie odmienne: w każdej sprawie widzą oni — lub widzieć powinni — przypadek wątpliwy, który starannie rozważyć należy. I jeśli tak wiele wyroków apelacyjnych wypada rozbieżnie z tem, co orzekła pierwsza instancja — jest to w bardzo dużej mierze sprawą odmiennej psychiki, mniej jednostronnie nastawionej.

Dodajmy do tego różnice personalne charakterów, wiedzy, sumienności, zrównoważenia, a zrozumiemy, że wymiar sprawiedliwości jest i musi być powszechnie, nietylko u nas, polem codziennej, uporczywej, trudnej walki o sprawiedliwość.

Ten, który tę walkę w imieniu oskarżonego prowadzi, nie jest bynajmniej szkodliwym natrętem, w doskonałem i nieomylnem dziele skazywania, lecz pełni funkcję nietylko pożyteczną, lecz i niezbędną.

A w społeczeństwie powojennem, gdzie głos rozumu nad głosami instynktów tłumu nie posiada powagi, gdzie miłość bliźniego jest rudymentem, a nienawiść — powietrzem, którem oddychamy, czyż można przypuścić, iż wśród wyrazów, któremi się szafuje bez umiaru i opamiętania, jeden tylko wyraz: „oskarżam!" jest wypowiadany oględnie i ostrożnie?

Napewno nie. Ale powojenna ludzkość zbyt często i zbyt wiele sama oskarża, szczuje, domaga się użycia siły i przemocy, aby być wrażliwą na możliwą niesłuszność oskarżeń. W naszych czasach — głos obrońcy jest najczęściej głosem na puszczy. Powołanie obrońcy — nie budzi w nikim poważania. Samotną drogą idzie człowiek, który chce walczyć zawsze i wszędzie o sprawiedliwość. Jego serce cierpi i krwawi się.

Widzi on, że justitia nie jest już fundamentum regnorum. Obawia się, że staje się ona okopem Św. Trójcy, ostatnim szańcem, który porzucają walczący, i że do obrony tego szańca poczyna braknąć ducha...

Zabrakło Cię w naszym świecie prawniczym. Będzie nam bez Ciebie ciemniej i bardziej pusto.

Jan Dąbrowski

EUGENJUSZ ŚMIAROWSKI

Umarł wielki adwokat polski. Był tylko adwokatem. Był niegdyś wice-ministrem; ale to jest rzecz nieważna. Od tych zaszczytów, które garnęły się do niego, a nie on do nich odszedł, do znoju służby szeregowca. On, człowiek przeszło czterdziestoletni, chciał poświęceniem swem sprostać temu, czemu sprostać nie mógł swoją siłą fizyczną. Jeśli nie krwią swych żył, to szczerą krwią swego wspaniałego serca służył ojczyźnie.

Był tylko adwokatem. Adwokat, to jak obraz: albo kawałek płótna z malaturą — i wartość jego złotych dwadzieścia, albo utwór Rafaela — i nie masz mu ceny. On był z rodziny Rafaelów. Od poziomych prywatnych interesów mocą swego daru podnosił się do wyżyn, na których nikt ze współczesnych mu obrońców polskich oddychaćby nie mógł z taką łatwością. Zresztą szły ku niemu i szukały jego obrony najbardziej tragiczne sytuacje, najwymowniej pokłębione kwestje życiowe, najbardziej obciążone dusze, najbardziej palące pytajniki poplątanych zawikłań społecznych. Był orędownikiem prawdziwie potężnym. Nie w dziedzinie polityki i ośrodka parlamentarnego; tam w tej sferze układów i pożądanej bezbarwności nie swojsko było Śmiarowskiemu; co miał on robić tam, gdzie nikogo przekonać nie można? Ale w dziedzinie, gdzie zmobilizowana społeczność, pod grozą kary, żąda od osobnika zdania sprawy z ciężkiego obciążenia, jakie go gnębiło, z tragicznych sytuacji, jakie dla siebie stworzył, z pokłębionych życiowych kwestyj, z któremi uporać się nie umiał, na które nie umiał dać tej odpowiedzi, jakiej żąda zakaz pisany. Tutaj był mistrzem Śmiarowski. Tu był skarb jego i tu było jego serce.

Wielką moralną siłą jest adwokat, kiedy jest takim, jak Śmiarowski. Bo trzeba, aby był ktoś, do kogo można przyjść i powiedzieć: „Świat jest przeciwko mnie i pozory i przypadek, i wszystko, co dla ludzi świadczy o czynie — mówi przeciwko mnie. A jednak mylą się ci, co mnie posądzają i mylą się ci, co mnie potępiają, zawodzą ich zmysły i pamięć, prowadzą na manowce namiętności i najlepsze ludzkie uczucia, ale smagane oburzeniem, na które nie zasłużyłem. Weź mnie w obronę".

Bezmierną jest społeczna wartość takiego obrońcy; ale trzeba, aby miał dojrzałość myśli i płodność rozumowań, żeby umiał wyczuć wszystkie fałszywe w naturze ludzkiej usprawiedliwienia, a dla myśli na manowcach umiał być przewodnikiem mądrym, ostrożnym, przenikliwym, ale nieprzejednanie żarliwym. Wszelka frywolność myślowych ułud winna być mu obca i prawie nienawistna; wszelka, zbyt łatwa prawda.

Niewolił i nakazywał niekłamany szacunek dla swej duchowej niezależności nasz wielki kolega. Był takim najwyższej do pomyślenia modły obrońcą, analitykiem sytuacyj, charakterów, interesów. W sprawach karnych ujmował sytuację i analizował je z darem obserwacji wspaniałym, a interesy i charaktery dyssekował po mistrzowsku.

W pracach politycznych, tej koronie swej obrończej akcji, jak mądrze, niewzruszenie, z jaką podniosłością prostoty stał przy osobniku, kiedy cezar — państwo w swej dumie władzy, któremu wiele się należy, żądał od niego zbyt wiele, albo zgoła tego, co mu się nie należało. Okrasą i dumą społeczeństwa był i winien był być ten nieprzejednany i kochający człowiek, który bronił w zwartych, ale przepojonych żarem słowach, tworzących w końcu tę osobliwą patetyczność, jaką mają w sobie rzeczy doskonałe.

Wolny od wszelkich przesądów, niedostępny wszelkiej zarazie moralnej, świadomy zawodności i oślepień ludzkich, w obronie tych o czyjej niewinności był przekonany, Śmiarowski oddawał całą swoją wielostronną, głęboką duszę, całą wiarę w powagę życia i całą wiarę w prawo jednostki. I już nie mógł się pogodzić z doktryną przemocy, jako źródła szczęśliwości, i z doktryną, że masowa sprawiedliwość społeczna ustala się drogą detalicznych niesprawiedliwości indywidualnych; pozostał przy swojej starej wierze: *iustitia fundamentum...*

Od lat dziesięciu, odkąd słucham w Polsce mówców polskich, on jeden wydawał mi się zawsze uposażonym przez naturę najbogaciej. On jeden pośród obrońców, mówiących pięknie i obrazowo i potoczyście, odróżniał się czemś osobliwem, jakimś wyraźnym, upartym genjuszem mówniczym.

Jego głos nie był najpotężniejszy, a barwa tego głosu nie pieściła odrazu ucha; ale był przejmujący a ciepło wzruszenia nadawało mu akcenty o piętnie niezapomnianem. Nie szafował głosem, nie miarkował odcieni dla efektu — w ogóle nie wiedział, co to efekt. Ale trzymał głos na uwięzi i mężkość tonu tego głosu nie zawodziła nigdy. Nie były mu obce nuty miękkie i liryczne; ale wstydliwie tłumiła je nuta energji, nie chcąc rzucać tkliwości na łup audytorjum.

Był to głos wytrzymały doskonale urobiony do oddania wszystkiego, co wyraziste. Nie wznosił się do krzyku, nie upadał do szeptu — otwarcie, pełnią swoją pomagał mówcy w jego szlachetnej pracy przekonywania.

Mistrz mógł przemawiać godzinami; a nienajpotężniejszy i niepieszczącej barwy głos trafiał do uszu słuchacza, jako wciąż świeża, a coraz bardziej ujmująca harmonja.

Rozpoczyna, jak gdyby wykładał; jasno choć trochę sucho; ani cienia cyceronowskiej rezlewności; zdawałoby się, że żadnego patosu; frazes skromny, ogołocony z ornamentów; tylko to, co konieczne; napozór nawet ubogo. Ale tylko napozór; skromny frazes ma wagę i jest uparty; powraca, bo w obrończej myśli stanowi cegiełkę ważną, skupia koło siebie inne — mocne i ścisłe; to już budowa, to już punkt oparcia dla przekonania. A pozorne ubóstwo frazesu — to tylko wybredność klasyka; mówca rozporządza słownikiem olbrzymim; ale sięga tylko po te słowa, które trafią do myśli, do wyobraźni.

Przedewszystkiem do myśli, do umysłu; obrońca chce przekonać; sam jest przekonany; a kiedy przemawia, nie kłamie sobie, nie kłamie nikomu. Mówi, bo wierzy, bo zanalizował, bo zważył, i to co obciąża, i to, co odciąża, i wagę ludzkiego osądu i lekkomyślność ludzkich potępień. Zanalizował zważył i ocenił, a jego wspaniale wydyscyplinowany umysł pozwala mu doskonale rozplanować argumenty — bez pośpiechu i mądrze. Sięgnie po nie, kiedy potrzeba i rzuci do walki.

Bo suchy wykład już dawno gdzieś zniknął. To co się teraz dzieje, to raczej szturm; szturm wyjaśnień, rozumowań, przykładów, zestawień; czerpie je z nauki doświadczenia, przedewszystkiem z samej rzeczy, o którą walczy; w ogniowej próbie upartej analizy wszystko, co żużel, odpadło; jak tanki ciężko suną argumenty mówcy; ciężko, ale na oczach wszystkich gniotą naokół przeszkody; a z tej procesji, nieprzerwanej, okresów mowy obrońcy wyziera ciągły, prawie fizycznie odczuwany pęd woli. I skłania się pod naciskiem tej rozumnej energji, tego energicznego rozumu wola słuchacza nie pokonana, ale zjednana, — zachwycona, ujarzmiona. A ten skromny człowiek o dobrodusznym wyglądzie, — wyrasta. I czuje każdy, kto go słyszy, że w duszy jego gości wspaniała, skrzydłem genjuszu dotknięta, namiętność — myśli, woli i serca.

I serca. Bo kiedy wyczerpał wszystko, co mu rozum podyktował, sięga po więzy do serca.

Jak wszyscy, głęboko tkliwi ludzie, w wyrazie uczuć jest skromny i prosty, ale umie znaleźć przenikliwe i od wszelkiej retoryki wolne słowa, sięgające najgłębiej do źródła „mleka ludzkiej dobroci". „the milk of human Kidness". Przekonał; później rozrzewnił; a kiedy skończył, wszyscy mają dla niego oczy pełne sympatji; każdy pośpieszyłby, nawet obcy, uścisnąć jego dłoń, gestem wyrazić mu swoją wdzięczność. Ale mówca, zaledwo wypowiedział ostatnie słowo, już chyłkiem, jakby zawstydzony, ucieka z twarzą rozjaśnioną ogniem wewnętrznym, ale obcy i jakby głuchy na szmer podziwu naokół.

***

A człowiek prywatny? Miał w sobie prawdziwą poezję; był czarujący. Był uprzejmy dla wszystkich jednakowo; odgrodzony od poufałości tem, że czasem „nie widział zbliska, bo widział dalej" i „po-

chłaniał, bo sam był pochłonięty". Był człowiekiem charakteru; „ci, co mają charakter, mają charakter przeważnie zły". On był dobrym człowiekiem. Był dobry i uprzejmy. Pani de Stael mawiała: „Polacy prędko wietrzeją". Eugenjusz Śmiarowski nie „wietrzał prędko". Miał w sobie niecodzienną świeżość i promieniował gorącem zainteresowaniem, z jakiem patrzył w życie.

Rozmowa z nim tworzyła sensację wielkiej intelektualnej przyjemności; myślał pięknie, wesoło, samoistnie, często oryginalnie i wypowiadał się z tem samem gorącem tchnieniem wymowy, z jakiem przemawiał w swej todze.

Miał i musiał mieć przyjaciół, którzy go nie odeszli i umiał zyskać miłość.

Tylko los, często jego sojusznik, kiedy szło o cudzy honor i wolność — był względem niego niesprawiedliwy i okrutny. Zabrał go w pełni sił, talentu i mądrości.

Leon Okręt (lo)

KARTELE

Pierwszym koniecznym warunkiem powstawania karteli jest *wysoka ochrona celna*, to znaczy — brak konkurencji zagranicznej. W krajach wolno-handlowych kartele prawie nie istnieją. Cła nie są potrzebne dla ochrony krajowego przemysłu, aby spotęgować jego rozwój, lecz, aby uczynić możliwą monopolizację. Przemysły nie potrzebują *ochrony* celnej, lecz barjera celna jest niezbędna, aby mógł powstać kartel.

Kartele tworzą się jedynie w pewnych gałęziach przemysłu, mianowicie w takich, w których *udział kosztów stałych jest wyjątkowo duży*. Przy osłabieniu konjunktury w przedsiębiorstwach o dużym udziale kosztów stałych, rentowność gwałtownie się zmniejsza, skutkiem czego przedsiębiorstwo skłonne jest do udzielania wielkich rabatów, ażeby zwiększyć zatrudnienie i zmniejszyć wpływ kosztów stałych. Skutkiem tego ceny spadają w sposób wyjątkowo gwałtowny. Spadek cen zmniejsza rentowność i wytwarza korzystne warunki dla kartelizacji. Kartelizacja oznacza ograniczenie walki konkurencyjnej, podział kontyngentów wytwórczych pomiędzy poszczególne przedsiębiorstwa, uporządkowanie podaży i produkcji oraz warunków sprzedaży towarów, a więc zwiększenie rentowności. Zresztą, ten wzrost rentowności silnie ujawnia się jedynie przy dobrej konjunkturze; *przy złej konjunkturze kartele nie są w stanie zapewnić dobrej rentowności przedsiębiorstwom*, ponieważ są skłonne do utrzymywania wysokich cen pomimo braku zbytu, co hamuje zapotrzebowanie, a więc prowadzi do wzrostu ciężaru kosztów stałych i spadku rentowności. Jeżeli zaś zapotrzebowanie na towary zmonopolizowane posiada charakter nieelastyczny, to znaczy nie zmniejsza się przy wzroście cen, wówczas następuje przesunięcie ciężaru kryzysu na inne gałęzie produkcji, ponieważ nabywca, który musi kupować drogie towary zmonopolizowane, będzie miał mniej siły nabywczej na zakup innych towarów.

Z wyjaśnienia przyczyn kartelizacji wynikają również korzyści jakie dają kartele przedsiębiorstwom zrzeszonym. Korzyści polegają na ograniczeniu konkurencji, a więc zwiększeniu rentowności w okresach dobrej konjunktury. Mogą istnieć, lecz niezawsze istnieją, korzyści kartelizacji pod kątem widzenia ogólno-gospodarczym. Gdyby w okresie dobrej konjunktury kartele tworzyły *fundusze wyrównawcze*, gromadzone z wysokich zysków przedsiębiorstw, to, po pierwsze, obciążenie tego rodzaju byłoby *tamą dla nadmiernych inwestycyj*, zmniejszając częściowo zysk przedsiębiorstw, a z drugiej strony, z sum stąd płynących mogłyby być *tworzone fundusze wyrównawcze, celem rekompensaty strat, powstających w okresach złej konjunktury*. W ten sposób istnienie funduszów wyrównawczych umożliwiłoby przemysłom skartelizowanym obniżenie cen przy złej konjunkturze, co ze swojej strony tamowałoby spadek zbytu, a więc przyczyniało się do poprawy rentowności przedsiębiorstw skartelizowanych. Z innej jeszcze strony kartele mogą oddawać usługi ogólno-gospodarczego charakteru, mianowicie przez *realizację podziału pracy* pomiędzy przedsiębiorstwami zrzeszonemi. Podział pracy, t. zn. specjalizowanie się poszczególnych zakładów skartelizowanych w wytwarzaniu pewnych tylko typów, lub rodzajów wyrobów, prowadzi do zmniejszenia kosztów produkcji i obniżania cen, ewentualnie przyczynia się do wzrostu rentowności.

W okresie dobrej konjunktury, *przy dużym zbycie, udział kosztów stałych zmniejsza się*, rentowność zakładów wzrasta, skutkiem czego wytwarza się skłonność do rozszerzania inwestycyj, jako wynik t. zw. inflacji zysków. Kiedy jednak nastąpi pogorszenie konjunktury, wówczas z całą siłą ujawnia się ujemny wpływ przeinwestowania. *Zmniejszenie zbytu prowadzi do nieproporcjonalnie wielkiego wzrostu kosztów produkcji*, ze względu na duży udział kosztów stałych. *Można zauważyć zjawisko niemal powszechne, że wszystkie skartelizowane gałęzie produkcji są w mniejszym lub większym stopniu przeinwestowane.* Do tego dochodzi, że przeinwestowanie w tych gałęziach produkcji, w których udział kosztów stałych jest duży, odbija się na rentowności przedsiębiorstwa w stopniu nieporównanie większym, niż przeinwestowanie w przemysłach przetwórczych, o rozstrzygającem znaczeniu kosztów proporcjonalnych, t. zn. kosztów, które zmniejszają się lub wzrastają proporcjonalnie do rozmiarów produkcji. Jeżeli przedsiębiorstwo przetwórcze, o dominującym wpływie kosztów proporcjonalnych, zawiesi produkcję, wówczas przestają istnieć również koszty proporcjonalne, pozostają tylko w niewielkiej ilości koszty stałe. *W przedsiębiorstwie z zakresu przemysłu surowcowego, w którym udział kosztów stałych jest dominujący, zawieszenie produkcji równa się katastrofie finansowej.*

Życie gospodarcze nie rozwija się równomiernie, lecz cyklicznie: przechodzi od okresów ożywienia do okresów depresji. W okresie ożywienia następuje przyrost sił wytwórczych i są realizowane nowe inwestycje produkcyjne. Okresy kryzysu i depresji są to fazy, w których dokonywują się procesy wyrównawcze likwidacyjne i przystosowawcze. Wytworzone w nadmiarze podczas ożywienia urządzenia wytwórcze i towary nie mogą być wchłonięte przez życie gospodarcze według cen, które ustalone zostały podczas ożywienia, konieczny jest spadek

cen, i to tak silny, aby nadmiary zostały wchłonięte, słabe i spekulacyjne przedsiębiorstwa zniszczone, przerosty w zakresie inwestycyj przystosowane do istotnych możliwości zbytu. Spadek cen w okresie kryzysu nie jest tylko przypadkiem, lecz spełnia niezmiernie pożyteczną i dodatnią funkcję gospodarczą. Spadek cen umożliwia wyrównanie się dysproporcji gospodarczych — powrót do równowagi; spadek cen wytwarza z powrotem te warunki, w których działalność gospodarcza znów staje się rentowna, znów stają się korzystne zakupy i produkcja i z powrotem mogą odbywać się procesy inwestycyjne. *Otóż, istnienie karteli wprowadza do życia gospodarczego pierwiastki sztywne, hamujące odbywanie się procesów uzdrowieńczych i wyrównawczych.* W okresie kryzysu i depresji ceny wyrobów gotowych silnie spadają, ponieważ są to ceny, które tworzą się na wolnym rynku. Natomiast ceny podstawowych surowców i półfabrykatów wyznaczonych przez kartele nietylko nie spadają, ale mają tendencję rosnącą. Rosnąca tendencja cen skartelizowanych jest całkowicie zrozumiała z prywatno-gospodarczego punktu widzenia, ponieważ w okresie depresji wzrasta udział kosztów stałych na jednostkę produktu i rentowność przedsiębiorstw zmniejsza się. Kartele usiłują podnosić ceny, aby zwiększyć rentowność.

Istnienie sztywnych cen podstawowych surowców i półfabrykatów wzmaga w sposób bardzo silny ujemne działanie tych czynników, które i tak podkopały rentowność przemysłu przetwórczego. Załamanie równowagi gospodarczej staje się jeszcze ostrzejsze skutkiem spotęgowania procesów dysproporcji w rozkładzie dochodu społecznego. Istnienie cen sztywnych na szereg podstawowych surowców i półfabrykatów hamuje i opóźnia moment ponownego podjęcia działalności produkcyjnej przez przemysł przetwórczy. Aby po kryzysie z powrotem zwiększyła się działalność gospodarcza, konieczne jest obniżenie cen surowców i półfabrykatów, co uczyni rentowną produkcję w przemysłach przetwórczych i wytworzy bodziec dla ponownego podjęcia inwestycyj, a poprawa gospodarcza może odbyć się tylko wówczas, kiedy przedsiębiorca z powrotem zacznie rozszerzać działalność inwestycyjną.

Przy istnieniu wolnej konkurencji obniżone ceny, albo eliminują z rynku przedsiębiorstwa źle zorganizowane, albo zmuszają je do racjonalizacji. *Kartelizacja przez podniesienie poziomu cen przedłuża dalszy byt przedsiębiorstw źle zorganizowanych, ponieważ cena zazwyczaj jeszcze jest tak wysoka, że umożliwia rentowność w przedsiębiorstwach gorszych.* W interesie kartelu leży zawsze ograniczenie podaży, aby móc utrzymać stosunkowo wysokie ceny. *Dlatego bardzo często zdarza się, że kartel zamyka niektóre przedsiębiorstwa, płacąc im odszkodowanie, lub zapewniając zamkniętemu przedsiębiorstwu odpowiednią rentowność.* Korzyść polega na tem, że na rynek rzuca się mniejszą ilość towarów. Ujemne skutki wynikają stąd, że potęguje to koszty produkcji, dlatego, że przedsiębiorstwa będące w ruchu muszą płacić odszkodowanie przedsiębiorstwom zamkniętym. Przykładów takich w Polsce mamy bardzo wiele.

Z rozważań powyższych wynika niedwuznaczny wniosek, że kartele nietylko nie prowadzą do utrzymania większej stałości stosunków gospodarczych, lecz, że *ich istnienie prowadzi nieuniknienie do pogłębienia niestałości i zmienności. W okresie dobrej konjunktury kartelizacja prowadzi do przeinwestowania, w okresie złej konjunktury uniemożliwia ponowne podjęcie rozszerzonej produkcji.*

Walka z kartelizacją byłaby przedsięwzięciem bezcelowem. Kartele zawsze tworzyć się będą tam, gdzie istnieje wysoka ochrona celna i gdzie struktura kosztów produkcji, a mianowicie wielkie znaczenie kosztów stałych, czyni dla rentowności przedsiębiorstw, groźną walkę konkurencyjną i wytwarza konieczność regulacji. *Kartele jednak muszą podlegać kontroli Państwa, kontroli zarówno w okresie dobrej konjunktury, jak i konjunktury złej.* W okresie dobrej konjunktury zadanie Państwa polegałoby na tamowaniu tendencyj do przeinwestowania, w okresie złej konjunktury — *na zmuszaniu do obniżki cen.* Ponadto Państwo mogłoby wywierać wpływ na kartele w kierunku urzeczywistnienia przez nie daleko *idącej specjalizacji przedsiębiorstw zrzeszonych, celem obniżenia kosztów produkcji.*

Kartel dobrowolnie tworzy się tam, gdzie istnieje jego konieczność, gdzie jest ekonomicznie uzasadniony. *Kartelizacja nie oznacza całkowitej monopolizacji.* Przed przystąpieniem do kartelu istnieje zazwyczaj silna walka konkurencyjna o kontyngenty produkcji i o ceny. Bynajmniej nie leży w interesie wszystkich przedsiębiorstw, które przystępują do kartelu, aby ceny były wyznaczane na najwyższym poziomie. Przedsiębiorstwa dobrze zorganizowane, sprawne technicznie, mające wielką zdolność wytwórczą i stosunkowo niskie koszty produkcji, dążą do osiągnięcia możliwie największych kontyngentów, a cen nie nadmiernie wysokich, ponieważ nadmiernie wysokie ceny prowadzą do zmniejszenia możliwości zbytu. Tylko przedsiębiorstwa słabe, mające wysokie koszty produkcji, dążą do cen nadmiernie wysokich. Istnienie ukrytej walki konkurencyjnej w kartelu dobrowolnym hamuje w pewnym stopniu tendencję zwyżki cen, a więc zmniejsza zło ekonomiczne z kartelizacji wynikające, natomiast *kartelizacja przymusowa,* w szczególności, jeśli kartelizacja ta związana jest z pewnego rodzaju przywilejami dla członków kartelu, np. z ulgami celnemi, musi być uznana za akcję w wysokim stopniu potęgującą ujemne strony kartelu.

Prof. Edward Lipiński

LATAJĄCY HOLENDER

FRAGMENT POWIEŚCI

Hej Wańgoły że wy! Hej Wańgoły!... Ile razy poprobował myśleć o nich, o swej rodzinie, o Wańgołach, zawsze nasamprzód śnieg poczynał padać, ten sam śnieg popołudniowy a gęsty, pożegnalny śnieg z przed czterech lat, który mu towarzyszył okrutną zawieją, gdy opuszczał rodzinną wieś. Dopiero za tym śniegiem, jak za bieloną świeżo ścianą widać trzy twarze. Stoją przy sobie równo-sztywno, niby na fotografji stary ojciec i dwaj braciszkowie. Wzrostem równi, w jednakich kapotach czarniawych, dokoła siebie ciepło mają i jakowaś rozmowa ich łączy, ale nie słychać słów, bo śnieg wciąż pada, a i ciepło do twarzy nie dochodzi, bo oddziela je chłód mroczny zimowego przedwieczerza. Zostali tak w tem cieple, przy rozmowie, podczas, gdy on wyszedł na chłód i puścił się w śnieg padający. Odjechał.

Te myśli o rodzinie, o starym ojcu i braciach, myśli o domu zjawiają się przeważnie w bolesnych okolicznościach. Przed rokiem, przed miesiącem, przed tygodniem wystarczyło by przy robocie odgnieciony palec zabolał, by w brzuchu zarwało, lub pokręciło w krzyżu, a odrazu na ojcowe zagony śnieg pada i poprzez śnieg twarze znajome zaglądają. Zupełnie jak dzisiaj, zupełnie jak w tej chwili...

***

Nieda rady, — trzeba iść przez Chmielną. Z Zakroczymskiej na Grójecką i tak drogi szmat, pocóż tedy Marszałkowską pchać się aż do Alej? Bliżej będzie naprzełaj, poprzez kolejowe planty, — chociaż kto wie, może i nie bliżej?... Wszystko jedno i tak zdąży do Warczaka na Grójecką, nim z domu wyjdzie Warczak do biura. Na niebie i na ulicach świeci słoneczny październikowy poranek, a śpiesznym nogom i rozmachanym rękom niby pociecha w strapieniu jest ten przydługi marsz po posypanych żółtym blaskiem ulicach. Bo też jesień w tym roku nadzwyczaj mamy piękną, choć nic a nic, nic a nic nie wiadomo jaka to zima będzie. Zima?... Gdzież ją zobaczy w tym roku? gdzie będzie, gdy zima nadejdzie?

***

I znów i znów w myślach przed oczami pada śnieg, a poza śniegiem jawi się dom ojcowski. Rozgląda się Mikołaj po izbach tego domu i miejsca szuka dla Heli i dla siebie. O niego mniejsza, — w stajni się pomieści, nawet w oborze przy krowach, — dla żony zato konieczny w izbie jaki kąt, chociażby jedna ściana. Osiem ścian, a ludzi taka gromada!... Czy nie zamało ścian na tyla ludzi?

W pamięci a na palcach oblicza Mikołaj ojcowskich domowników. Dociągnął do szesnastu i przestał, opuścił w myśli ręce, a jednocześnie odpadł z myśli ciężko i z westchnieniem rodzinny dom. Śnieg już nie pada, już nie migają się za śniegiem twarze. Znów jest strach. Dzisiaj, który to raz z rzędu?

***

Minął jakowąś przecznicę i przyśpieszył kroku. Zna to uczucie. Z dalekiego ojcowego domu, hen z pod Prużan uciekał przed tym strachem. Tu drwa rąbał, tam konie poganiał, ówdzie czuwał bezsennie jako nocny stróż. Z miasta do miasta nędza go ścigała, jeśli zaś kiedy wymknąć jej się zdołał, wówczas śród nocy bezpiecznej budził go strach śmignięciem bata po sercu i gnał przed siebie naprzełaj i naoślep.

Warszawa. Na jej ulicach i fach sobie wyjeździł i przez równe trzy lata zbierał złotówki niby grzyby w lesie. Przez pierwsze dwa lata przepijał zarobiony grosz, lub rzucał poza siebie w przeludniony dom ojcowski, dokąd niema powrotu ani dziś, ani nigdy. Nie umiał pracować z zarobkiem w kieszeni. Nie był w stanie tak zwyczajnie do pracy pójść, gdy się czuł przy pieniądzach, gdy się czuł bezpieczny na dziś i na jutro. Senne rozleniwienie panoszyło się podówczas w członkach, myśli snuły się oziębłe bez iskry zapału, a świat okoliczny poza oknami knajpy wzbudzał nadzwyczajny niesmak i odrazę. Do roboty obudzić na czas mogła go tylko trwoga, skrajny strach przed nędzą, drapiący wściekle pazurami serce rozleniwione. Myśli, niby małe przerażone dzieci, poczynały się wówczas zanosić od krzyku, a Mikołaj kurtę wciągał na ramiona i wybiegał na ulicę do pracy.

Tak było równo przez dwa lata, trzeciego zasię roku Hela przyszła. Przyniosła mu ze sobą zapalenie świata calutkiego i ani się spostrzegł, jak z jego mieszkania strach się wyprowadził, w miejscu zaś strachu przed nędzą wyrosło drzewko serdeczne nieustającej myśli o Helenie.

Właściwie, to tylko w nocy rosną myśli jak drzewo, bowiem za dnia odrywają się, jak ptaki z każdego rogu każdej ulicy i do Heleny po powietrzu pędzą. Wędrują ponad dachami i szukają Heli po mieście, — kołują nad Żoliborzem i zaglądają w okna. Nie, — to południe przecie i pewno się już Hela uwinęła z robotą i jedną, drugą, trzecią ulicą przeszła na nową posługę do tamtej pani z balkonem i z ogródkiem. Zawsze tak. O każdej porze dnia te same strzały ptaków...

— Latający Holender! Ktoś mu krzyknął w twarz. — Nie jeździsz... Auto rozpędzone przeleciało przed nim tak szybko, iż ledwie zdołał załapać wzrokiem znajomą twarz. To Michał Piękoś, czarny Michałek, szofer znajomy, kolega. Pędzi przed siebie, a łeb wychylił, ręką zamachał i coś tam woła koledze. Nie słychać.

Przystanął Wańgoł i za taksówką pogonił wzrokiem. Coraz mniejsza. Leci jak panna i coraz bardziej się zmniejsza i już jest całkiem malutka, a jeszcze po kamieniach skacze. Jak piłka. Prawie taka zgrabna jak moja... jak moja... Łzy przysłoniły wzrok, ale je nakrył powiekami i do odwrotu przymusił. Wypluł potem ze siebie te łzy z głośnem przekleństwem: — choroba!

Znów przyszedł strach.

***

W drugiem podwórzu na Grójeckiej, w lewej oficynie na trzeciem piętrze Andrzej Warczak kończył się właśnie ubierać, gdy ktoś niepewnie postukał klamką u wejściowych drzwi. Nie odrazu ruszył się, by otworzyć, — stanowczo spodobała mu się owa nieśmiałość czekającego poza drzwiami gościa, gdyż

zadrżał zabawnie ramionami, jakgdyby pragnął garb na plecach sobie poprawić i mruknął krótką myślą: Niech czeka! Stukanie jednak nie powtórzyło się więcej, Warczak tedy przyłożył machinalnie prawą dłoń do czoła, niby wyższy oficer przyjmujący niedbale raport adjutanta i sprężystym krokiem przystąpił do drzwi. Mikołaj Wańgoł stał za progiem i Warczak poznał go odrazu. Poznał i wstrząsnął się, aż mu binokle z nosa prosto w garść zleciały. Dobrze jeszcze, że nie na podłogę!

— Pan?...

— Wańgoł jestem, panie inżynierze. Mikołaj Wańgoł.

— Dobrze, dobrze, wiem, ale... Choć wiedział doskonale, zapragnął jednak usilnie dowiedzieć się raz jeszcze, usłyszeć na własne uszy głośno powiedziane z samych ust przybysza.

— Pan inżynier nie pamięta? Ja w sprawie tej autobusowej linji do Lwowa, co to którą pan inżynier niby...

— Niby? Tu żadnego „niby" niema, panie Wańgoł, — rozgniewał się „inżynier". W tem miejscu nadmienić wypada, iż Andrzej Warczak nigdy żadnym inżynierem nie był, a tylko Wańgoł — bezrobotny pragnął się w ten sposób swej desce ratunku przypodchlebić.

— Jak nie „niby", to i lepiej! niezgrabnym pomrukiem starał się Wańgoł, ułagodzić pański gniew. A przyszedłem to tylko dlatego, że pan inżynier kazał; — niby po ostateczną odpowiedź...

— Znowu „niby"! Co wy sobie, Wańgoł, z tem „niby" wogóle myślicie? Żeby to było mi ostatni raz!... Podanie złożyliście?

— A jakże! Mogę jeszcze raz, jak pan inżynier zgubił...

— Dlaczego miałem zgubić?!... A zresztą dobrze! piszcie jeszcze raz!

Krzesło mu do biurka przystawił, a sam począł po pokoju krążyć. Znów go opanowała niecierpliwa chęć, by na własne oczy zobaczyć. Czarno na białem. Fakt. Podanie. Akt wypisany uroczyście, we czworo złożony...

— Jakto? Już?... Hm!... ładnie piszecie, panie Wań... jak wy właściwie wymawiacie wasze nazwisko?

— Można i tak i tak, panie inżynierze. Pisze się Van-Gock, a naprzykład ojciec, to wymawiał Wankok. Ja mówię Wańgoł, po matce...

— Acha, — to wy protestant.

— Tak, luterski, a bo...

— Nic, dobrze. A powiedzcie mi teraz, jakto się stało, żeście bezrobotni?

— Ot, zlikwidował stary taksówki, — pięć na prowincję sprzedał, a na szóstej zięć jeździ...

— Zięć... tak... Więc mówicie, żeście Holender?

— Więc mówię. Holender. A jakże.

— Przypominam sobie, tak, — opowiadaliście mi już przed tem, jakto was do Polski sprowadzono...

— Ogiński do kopania kanałów i Sanguszki...

— To ciekawe, — wiecie, Van Gock, że to strasznie ciekawe! Wy nawet nie zdajecie sobie sprawy ile w tem... Pomyślcie tylko, — w przeddzień, czyli zaraz przed samemi rozbiorami, tyle było do roboty w Polsce, taki był ruch, że aż musiano ludzi z Niderlandów sprowadzać! Praca wrzała,... i to przed samemi rozbiorami, a dzisiaj...

— Pewnie, że dawniej lepiej było, panie inżynierze. Im dawniej tem lepiej. To się wie!

— Nie to! nie to! wcale lepiej nie było i wcale nie dlatego, że dawniej! Inna rzecz, że teraz...

— Tylko się powiesić, panie inżynierze, — kryzys... brrr!

Przestał Warczak, po pokoju krążyć, zaszył się gdziesik w kącie w ramionach jakowegoś fotela i wystawił na Wańgoła łyskliwe szkła binokli. Mikołaj także zamilkł, oczy na podłogę upuścił, a strach począł mu w sercu bić, niby w bęben na alarm. Pewnie! Przecież to ostatnie oględziny!...

Niewiadomo gdzie, może w mózgu Warczaka, może zupełnie gdzieindziej, ale jest, jest jakowaś waga, a na wadze decyzja się waży. Tak, albo nie. Tak, albo — nie. Choroba!...

— Jedno mi jeszcze powiedzcie, panie Van Gock, zupełnie cicho wymówił „inżynier", — czy wy należycie do partji?

— Do partji, zdziwił się Wańgoł, a do której?

— Macie rację, Wańgoł, — są rozmaite partje. Do której należycie?

— Ja do żadnej.

— To żadnej jawnej i do żadnej tajnej.

— Tak.

— Jakto — tak?

— Do żadnej.

Poza szkłami cwikiera przymknął Warczak oczy. To ostatnie pytanie o partji było niewłaściwe, niepotrzebne i głupie. Jeżeli tak, to i tak by się Holender nie przyznał, — jeśli zaś nie, — to podjabła podsuwać człowiekowi niepotrzebne myśli?... Pozatem jednak.... pozatem jednak... O rany!!!

Za dobrze. Stanowczo za dobrze. Możnaby podejrzewać wyższą jakowąś, transcendentalną pomoc interwencję samego losu z dużej litery w spotkaniu Holendra. Z tłumu bezrobotnych, niby z worka maku wybrać, wyłowić właśnie to, co trzeba!... człowieka, który tak idealnie pokrywa się z całą sprawą.

Bo i pewnie!... W jednej ręce silny niby byk, w drugiej ręce sprawny, jak maszyna, — najważniejsze jednak, że Holender - protestant, kropla całkiem obca w szklance innych kropel...

—Niema co, przemknęło przez głowę Warczaka,— powinni mi po latach tablicę wystawić w tem miejscu, gdzie poraz pierwszy na Holendra się natknąłem. Złote litery: — „Tu w tej knajpie towarzysz Andrzej Warczak powołał do pracy Mikołaja Van Gock, pierwszego szofera autobusu *„Bocian"*, będącego zwiastunem wiosny zbliżającej się do naszego kraju...

Otworzył oczy Andrzej Warczak i z Wańgołem się spotkał. Jesteście przyjęci, panie Van Gock, powiedział nadzwyczaj wyraźnie. Zasadnicza decyzja już zapadła. Wy pierwsi pojedziecie na „Bocianie" do Lwowa, a później to się wam wynajdzie i pomocnika i zastępcę, o to zmartwienia niema.

— To ogromnie dziękuję panu inżynierowi... ja się będę starał...

— Starajcie się! — tylko... wiecie co?... Czekajcie, coś wam powiem, — żadnej polityki!

— Polityki?

— Żadnej! Żadnych rozmów, stosunków, żadnych znajomości, ani z tymi popami „Pro Russa", co się teraz na Wschodzie kręcą, ani z ukraińcami, ani z komunistami, ani nic. Wogóle. Jak was który zaczepi, tego — owego, zaraz w mordę!

— To się wie!

— Bo widzicie, — chcę mieć w interesie spokój...

— ...

— ?

— Panie inżynierze?

— No, cóż jeszcze?

— Bardzo pana przepraszam, pana inżyniera, ale...

— No mówcie, o co wam chodzi?

— Skoro niby zostałem przyjęty, to może by tak...

— Acha! Rozumiem. Dobrze. Zaraz, zaraz.

Siegnął Warczak do kieszeni po portfel, i w tej samej chwili odpływ się rozpoczął. Pustka. Naprzód w garbie, później w całem ciele, a potem w myślach. Garb miał Warczak nie taki znów wysoki, — ot duża pięść pod marynarką na plecach. Zazwyczaj odczuwał tę pięść, miał z nią łączność, sprawdzał i szpiegował. Raz - po - raz, wielekroć w ciągu każdej godziny głos tajemny donosił mu telefonem, jak tam z garbem, co w garbie się dzieje. Tak więc w chwilach zapału zaciskała się na plecach pięść mocniej i mocniej, — w mgnieniach silnego wzruszenia bicie serca głośnem echem rozlegało się w garbie, — w czasie pracy natomiast wyciągała się pięść za ramienia i chwytała wiadomości upolowane na stronicach książki, lub w zapylonem archiwum domu handlowego „Ignacy Pieniążek" pokazywała palcem z ponad pleców, gdzie szukać należy potrzebnych ksiąg rachunkowych, segregatorów i teczek. Bywały jednak chwile, gdy urywała się tajemna łączność.

Ot, teraz naprzykład, w tej chwili.

Piętnaście złotych, ostatnie pieniądze. Dać, czy nie dać? Do pierwszego jeszcze drogi szmat, a pierwszego znowu trzysta złotych na rękę... W domu handlowym „Ignacy Pieniążek" na posadzie zarabiał Warczak tylko trzysta złotych...

— Proszę, panie Van Gock, ma pan tu piętnaście. Zgłosi się pan do mnie w tych dniach i dostanie pan więcej. Może jutro, pojutrze...

— Dobrze, panie inżynierze, dobrze. Chciałbym tylko jeszcze jedno wiedzieć... Niby kiedy ten Bocian - autobus...

W tej chwili zdało się Wańgołowi, iż poprzez szkła binokli przebił się z oczu Warczaka blask czerwony i krótki, niby krzyk o ratunek. Zaraz potem przeszło wszystko, tylko „Inżynier" pobładł widocznie i tak już został biały na nosie i na brodzie Dwa kroki cofnął się w tył i z pasją przywarł garbem do ściany.

— Nie troszcz się pan o to, panie Van Gock, moja w tem głowa, kiedy puścić autobus. Od dzisiaj jesteście na pensji, o żadną inną pracę macie się nie starać, a pozatem — to już nic was obchodzić nie powinno!... Ani kiedy, ani jak, ani wogóle...

(d. c. n.)

Jerzy Kornacki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Złość i nienawiść. Odwet i zemsta. Śmierć i zniszczenie. Oto główne pojęcia wymiany międzynarodowej myśli. Jeżeli w Genewie mówi się o pojęciach innych, to przecież tylko z punktu widzenia negatywnego, a więc o tem, jak od tego wszystkiego, co ujmuje się w jednem słowie — wojna, ustrzec ludzkość.

Wielki impas konferencji rozbrojeniowej i Ligi Narodów na tem właśnie polega, że wszystko ugrzęzło na budowaniu zapór, na akcji negatywnej. I trzeba przyznać, nie wchodząc w meritum zagadnienia i nie zajmując stanowiska w konkretnej sprawie, że premjer francuski p. Herriot dobrze wyczuł sytuację, nazywając swój przyszły projekt konwencji rozbrojeniowej — projektem konstruktywnym.

Tak. Trzeba konstruować, bo to, co dotąd robiono, sprowadziło zagadnienie rozbrojenia do kwestji, czy Niemcom wolno się dozbrajać.

Zagadnienie tak właśnie jest postawione, tylko, że w rozumieniu oficjalnej polityki niemieckiej oznacza, że „biedne upośledzone Niemcy mają dorównać w zbrojeniach innym", a w rozumieniu innych, równa się pytaniu, czy zamknąć oczy na to, że Niemcy będą dalej zbroić się, czy ulegalizować dotychczasowe zbrojenia Rzeszy, dokonane z obejściem przepisów traktatu wersalskiego.

Gdy spór przeszedł na taką płaszczyznę, doprawdy niesłychanego waloru nabiera każdy głos oparty na innych przesłankach.

Za taki uważać trzeba korespondencję p. Immanuela Birnbauma w „Vossische Zeitung" z dn. 11 października p. t. „Są jeszcze mosty... Zamarznięte stosunki polsko-niemieckie".

Rzadko, trzeba to przyznać, i bodaj tylko na łamach „Vossische Zeitung" i „General-Anzeiger von Dortmund", czytuje się w ostatnich czasach tego rodzaju głosy w prasie codziennej niemieckiej.

P. Birnbaum charakteryzuje naprężony stan stosunków polsko-niemieckich w dziedzinach gospodarczej i politycznej. Stwierdza, jako objektywny obserwator, że jeżeli w Polsce mówi się o wojnie, to tylko w przekonaniu, że Niemcy do tej wojny dla rewizji swoich granich wschodnich dążą.

„Przepaść negacji, obaw i nieufności— pisze p. Birnbaum — zdaje się dzielić dziś dwa sąsiednie narody."

Ale jednak... I tu cytuje dwa mosty nad tą przepaścią niespodzianie przerzucone: hołd lotnictwa niemieckiego dla lotników polskich ś. p. por. Żwirki i Wigury, którzy swe tryumfy w stolicy Niemiec odnieśli, oraz odznaczenie prof. Tadeusza Zielińskiego medalem im. Goethego.

Przypomniawszy o tych momentach p. Birnbaum pisze: „Czyż te chwile są tylko pauzą w biegu nieuniknionego losu, który znowu do walki wszystkich przeciw wszystkim prowadzi? Czyż ostatnie wąskie mosty, które od narodu do narodu prowadzą, mają być odwiedzane tylko w rzadkie dni rozpamiętywania o zaginionej przeszłości? Czy też są te niedające się zniweczyć dążenia prawdziwego humanitaryzmu czemś w rodzaju rękojmi lepszej wspólnej przyszłości narodów?"

Na pytanie postawione przez p. Birnbauma, zbyt nieśmiało, można odpowiedzieć tylko odważnie — twierdząco. Owszem, to jest rękojmia. Trzeba te mosty poszerzać i przerzucać ponad zgiełkiem i krzykiem, który skądkolwiek dochodzi. Kto nie powie sobie: „contra spem, spero", ten zatrzymuje się przed wejściem na owe mosty, daje za wygraną w walce z nienawiścią i jej zwycięstwo ułatwia.

*

Korespondent moskiewski wspomnianego wyżej „General-Anzeigera" dortmundzkiego p. Eugene Lyons postanowił dotrzeć do wszechmocnego sekretarza generalnego rosyjskiej partji komunistycznej. Ze swojej wyprawy zdaje relację na łamach tego pisma, obalając różne plotki o tajemniczym sposobie życia, pałacach, poborach i wydatkach Stalina. Stwierdza, że ten kierownik rządzącej w Rosji partji żyje za 280 rubli miesięcznie, co stanowi maksymalne uposażenie członków partji na stanowiskach.

W rozmowie ze Stalinem p. Lyons zabrał się odrazu do rzeczy najistotniejszej, a więc zapytał poprostu: „Czy pan jest dyktatorem?"

Pytanie to — pisze p. Lyons — rozweseliło Stalina, a młodzieńczo wyglądający Woroszyłow (który siedział obok) roześmiał się głośno.

„Ale Stalin nie ograniczył swej odpowiedzi do śmiechu. Powoli i poważnie, starając się ująć treść istotną zagadnienia, odpowiedział mi, że dyktatura jednostki pod panowaniem systemu, sowieckiego jest niemożliwa i nie daje się nawet pomyśleć."

„Jestem przekonany — ciągnie p. Lyons— że Stalin to właśnie myślał, co powiedział. Nie chcę przez to powiedzieć — biorąc rzecz objektywnie — że Stalin nie jest wyposażony w uprawnienia bliskie do dyktatorskich. Chcę powiedzieć, — biorąc rzecz subjektywnie — że on osobiście uważa się za narzędzie, kierowane przez swoją partję i przez swoją klasę. Przy dzisiejszym stanie rzeczy w Rosji nie byłoby przesadą uważanie go za najpotężniejszego męża stanu na świecie. A w każdym razie „warto zastanowić się nad nim, ja-

ko nad potęgą, z którą świat musi liczyć się, czy chce, czy nie chce".

Rozmowa i spostrzeżenia publicysty niemieckiego zasługują bardziej na uwagę, niż „sensacyjne" telegramy o nowym spisku i przewrocie na Kremlu.

Z okazji dziesięciolecia faszyzmu, prasa włoska od dłuższego czasu już prowadzi stałą rubrykę ilustrowaną „zdobyczy reg'me'u". Zapełnia ona całe stronice „Giornale d'Italia", „Trybuny" i innych fotografjami zbudowanych w ciągu dziesięciolecia gmachów publicznych, wzniesionych instytucji opieki społecznej i odrestaurowanych zabytków Rzymu.

Na upamiętnienie „X-go roku nowej ery" wprowadzony być ma nowy statut partji faszystowskiej.

Charakterystyczne są dwa postanowienia tego statutu: 1) nadanie młodzieży, która wchodzi do patrji z organizacji młodzieży faszystowskiej wszystkich praw starych faszystów, 2) usunięcie od stanowisk w partji wszystkich, którzy zapisali się do partji po jej zwycięstwie.

Jest to „czyszczenie" bardzo względne, bo nie usuwające narybku konjunkturalnego od posad, a to jest przecież rzecz najważniejsza.

Pogłoski o tem, jakoby w roku X-ym miało nastąpić złagodzenie reżimu, usuniecie partji z aparatu państwowego okazały się bezpodstawne i prasa faszystowska z oburzeniem pogłoski te dementuje.

*

Do zorganizowania swojej partji rządzącej zabiera się też kanclerz niemiecki von Papen. Ale, jak dotad, niesporo mu z tem idzie. Demokratyczna publicystyka niemiecka zwraca uwagę na rzucające się w oczy przeciwstawienie pracowitego i surowego w obyczajach Brüninga ze skocznym i pełnym werwy kanclerzem rządu baronów von Papena.

Dziś jest na koncercie, jutro na wyścigach, to znowu na meczu sportowym, praca „biurowa" nie zajmuje mu zbyt wiele czasu, a wszystko wydaje mu się albo raczej wydawało się bardzo łatwem. Ale żadne z zagadnień polityki wewnętrznej, socjalnej i zagranicznej nie zostało przez „Sturm und Drang" baronów rozstrzygnięte.

Pewne zapędy trzeba było powstrzymać. Rzuciło się np. na jednym z wieców oświadczenie, że „każdy kto nie opowiada się wyraźnie za obecnym rządem jest wrogiem narodu niemieckiego".

Zareagowała na to partja socjal-demokratyczna i na łamach „Vorwarts'u" i w proteście złożonym przez przewodniczącego partji p. Welsa w urzędzie kanclerskim.

Już nazajutrz von Papen cofnął się, mówiąc, że zdanie jego odnosiło się tylko do polityki zagranicznej rządu. Chociaż i tak postawiona zasada może budzić wątpliwości, ale trzeba przyznać, że jest bardzo znacznem cofnięciem się ze stanowiska monopolu patrjotyzmu.

*

Knickerbocker skończył swoją podróż po Europie i zreasumował na łamach prasy amerykańskiej i niemieckiej swoje wrażenia.

Swój optymizm co do przyszłości Europy popiera pisarz amerykański przez następujące 13 faktów: 1) Ceny towarów poczęły iść w górę. 2) Kursy akcji podniosły się. 3) Rynek kapitałów ożywia się. 4) Bankructwa państw już nie powtarzają się. 5) Rządy są ustabilizowane. 6) O rewolucji na serjo niema mowy. 7) Wojna domowa nigdzie nie wydaje się prawdopodobną. 8) Większość wielkich krajów ma zrównoważony budżet. 9) Handel światowy zwolnił bieg swojego spadania. 10) Międzynarodowe bilanse równoważą się. 11) Dążenia do autarkji zostały powstrzymane. 12) Sprawę reparacji — oczyszczono. 13) Niemcy, Francja i Włochy mają w tym roku największy zbiór zbóż od wielu dziesięcioleci.

Stąd wniosek p. Knickerbockera: Europa wyzbyła się strachu śmierci i o załamaniu się systemu kapitalistycznego nie może być mowy.

Po odczytaniu tych 13 punktów Knickerbockera czytelnik musi stracić wiele zaufania do znakomitego reportera amerykańskiego i dojść do przekonania, że miał on systemem amerykańskim zamówiony film z „happy end'em". Na jego 13 radosnych punktów każdy objektywny (bynajmniej nie pesymista) obserwator znajdzie równą liczbę punktów martwiących.

St. Gr.

„BADMAJEFFOWIE"

Medycyna Tybetu w zetknięciu z cywilizacją Zachodu.

Ukazała się pokaźna książka Feliksa Brodowskiego (autora „Domu cedrowego", „Kobiety w rodzinie", „O duszę Polski") p. t. Badmajeffowie. Medycyna Tybetu w zetknięciu z cywilizacją Zachodu.

Książka zawiera przeszło 250 stron pięknego, wyraźnego druku (cycero nordisch) na dobrym bezdrzewnym papierze, 9 ilustracyj, a wszystkie w ładnej, dwubarwnej okładce, rysowanej przez art. mal. J. Hollaka.

Po przedmowie następują trzy rozdziały: 1) Zasady Nauki „Żud-Szji" w opracowaniu Piotra Badmajeffa. 2) Piotr Badmajeff jako człowiek, lekarz i polityk. 3) Medycyna Tybetu w zetknięciu z cywilizacją Zachodu. (Perspektywy przyszłości — Dr. W. Badmajeff), wreszcie — zakończenie, podające szereg wskazań hygjeny moralnej „Żud-Szji".

Cena sprzedażna książki wynosi zł. 12. Skład główny w Warszawie, Al. Jerozolimska 23 m. 3, Czasopismo „Lekarz Tybetański".

LISTY DO «EPOKI»

I.

W Warszawie zmarł ks. proboszcz Ryniewicz, twórca kościoła przy ul. Łazienkowskiej, człowiek wielkiej szlachetności. Kochało go całe Powiśle i trudno się dziwić, że pobożny tłum chciał go pochować w podziemiach kościoła, który ks. Ryniewicz wybudował własną pracą i znojem. Ale sprzeciwiał się temu kanon 1202 § 2, który pozwala w takich miejscach chować tylko możnych tego świata: biskupów, kardynałów i członków rodzin panujących. Dlatego też w setkach kościołów na całym świecie, leżą tuziny zwłok rozmaitych moralnie postaci, które zadośćuczyniły kanonowi 1205, § 2, — dla skromnego zaś i zasłużonego kapłana nie ma miejsca. „Chyba, że stolica Apostolska pozwoli".

Ubodzy duchem parafianie z Powiśla nie rozumieją subtelności kanonów i paragrafów. Chcieli mieć swego proboszcza blisko, by móc się modlić na jego grobie. Nie wypuszczali zwłok z kościoła, wysłali prośbę z 10.000 podpisów do Rzymu. Nie otrzymali jednak odpowiedzi, a warszawska władza duchowna ogłosiła urbi et orbi, że „nie będzie interwenjowała w uzyskaniu pozwolenia z Rzymu", gdyż parafianie nie poszli legalną drogą.

Władza duchowna broni swego autorytetu. Ale zapomniała, że żyjemy w dwudziestym wieku, że są telefony i telegrafy, zapomocą których można było w ciągu godziny połączyć się z Rzymem,

uzyskać pozwolenie i uratować swój prestige; że dzisiejszy tłum ma już za sobą demokratyczne tradycje i nie przerazi się kardynalskich gromów.

Uderzono w istotną podporę swej duchownej władzy — w rzesze wierzących katolików. Czy to mądre?

J. K.

II.

Po przeczytaniu zamieszczonego w n-rze 2-gim „Epoki" listu Jana Tomczaka, stwierdzić można fakt zastanawiający: jak spoiście zazębić się mogą przeżycia ciemnej, mało uświadomionej jednostki z ważkiemi problemami, które trapią najtęższe głowy i są piętnem dzisiejszego dnia.

Spróbujmy rozłożyć list na składowe zagadnienia.

1) Kwestja religijna. Autor rozwikłuje ją prosto i w lapidarnych słowach. Bezskutecznie szukał odpowiedzi u księdza, który go nakarmił, ale nie potrafił zaspokoić głodu myśli.

2) Kwestja „neomaltuzjańska". Fatalne warunki materjalne, suchoty „kiedyś stępa, a teraz galopująco" — nie przeszkodziły wcale w spłodzeniu sześciorga dzieci, których wiek zawiera się w skali 7 miesięcy do lat 12. Choroba ojca, a zresztą bezrobocie skazują te dzieci na łaskawy chleb filantropji — albo na żebraninę.

3) Psychiczny efekt warunków, w jakich żyje autor jest zrozumiały i jedyny: rezygnacja. Bezrobotnych są miljony „i tak już teraz nazawsze". Potrąca autor o kapitalną kwestję różnic społecznych, wyjaśniając ją w sposób naiwny, całszywy, a usprawiedliwiony odległością autora od uświadomionego świata pracy.

Otóż pan Tomczak wie, że byli i są dziś „tacy, co nic nie robiły", ale na to, żeby takim zostać to trzeba bardzo dużo uczyć w szkołach". Zagadnienie różnic socjalnych sprowadza tedy pan Tomczak do sprawy wykształcenia. Nie miejsce tu na wyświetlenie naiwnej błędności takiego mniemania, ale zapewniam pana Tomczaka, że znam osobiście wielu „nie robiących" — jak określa autor listu „burżujów", których wiedza, wykształcenie „w szkołach" polega jedynie na umiejętności podpisania swego nazwiska.

4) Niefortunnie zahaczając kwestję społeczną o oświatę, wskazuje jednak autor na podstawowy brak naszego nauczania: zbyt małą pojemność szkół. Ilustruje to jaskrawym przykładem: „w mojej kamienicy dwadzieścia dwie dzieci do szkołów nie chodzi, bo... dla nich to niema ani miejsca".

Dokonałem sekcji listu. Wiem, że odegrałem tu rolę mumifikatora. Zamroziłem żywą, ciepłą, tętniącą bólem i wzruszającą w swej prostocie spowiedź.

Trapi pana Tomczaka troska o dzieci — o zabezpieczenie ich bytu — dręczy go wizja więzienia („a jeden syn mego sąsiada w więzieniu siedzi za kradzież") i prostytucji, która jest jedną z możliwości w życiu jego córki.

Niepokoi go brak słów, które chciałby skierować do dzieci, udzielić wskazówek na ponurę wędrówkę „za te parę lat, kiedy z przytuliska wyjdą".

Jakie słowa wskazać? Otóż musi Pan wyposażyć dzieci w kapitał. Pan, odarty z posiadania — musi zostawić im w spadku kapitał, tak — kapitał optymizmu. Musi Pan wydobyć z siebie wiarę, że bezrobocie minie, a postęp w stosunkach społecznych zmierza ku lepszemu, sprawiedliwszemu rozdziałowi dóbr.

Widzę szczególny zbieg okoliczności w jednoczesnem opublikowaniu Pańskiego listu i artykułu p. Wasowskiego „Dwie oceny życia", w którym autor uzasadnia potrzebę wiary w lepsze jutro, ku któremu „idziemy ciernistą drogą", a które przyjdzie na świat w ciężkich bólach porodowych. Optymizm będzie szansą wierzących. Tragiczne skłócenie życia przybierze pewnego dnia odmienny, lepszy kształt. W chwili przełomu — start optymisty będzie szybszy.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć słowa z artykułu p. Wasowskiego: „nic nie przeszkadza nam wierzyć, że nie dopiero prawnukom, ale że już dzieciom naszym będzie lepiej. Świadomość tej możliwości... musi być dla nas ulgą. Przecież kochasz swoje dzieci"...

Józef Szpecht.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Andrzej Strug: Żółty krzyż. Tajemnica Renu. Powieść. Gebethner i Wolf. Warszawa, 1932.

Boy-Żeleński: Okno na życie. Wrażenia teatralne. Bibljoteka Boya. Warszawa, 1932.

Mieczysław Szerer: Polsce grozi pokój. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1932.

Aleksander Bregman: La politique de la Pologne dans la Société des Nations. F. Alcan. Paryż, 1932.

Lech Piwowar: Raj w nudnym zajeździe. Poezje. Wydawnictwo Dwutygodnika Literackiego. Poznań, 1932.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Józefowi Statkowskiemu w Grodzisku Maz. Dziękujemy za życzenia i uwagi.

Pannie J. L. w Łodzi. Po otrzymaniu rękopisów będziemy mogli wiedzieć, czy rzeczy te nadają się do „Epoki".

Pani Zofji K. w Zawierciu. Myśl słuszna, ale argumenty niezręczne, całość b. słabo napisana.

Panu Wacławowi M. w Warszawie. Nie uprawiamy tego rodzaju brewerji polemicznych. Zamiast wycieczek osobistych, pożyteczniej oświetlić sprawę samą objektywnie i poważnie. Co społeczeństwu przyjdzie z tego, że taki a taki pan zostanie zwymyślany? Natomiast poruszenie doniosłej sprawy w sposób poważny i pouczający niejednemu przydać się może.

Panu K. L. w Częstochowie. Za mało rzeczowego materjału.

Panu Leonowi W. w Lublinie. Nienawidzieć to tyle, co nie widzieć. Sam wyraz o tem mówi: nie-na-widzieć (po łacinie — invidere: nienawidzieć i nie widzieć).

Panu Mieczysławowi Z. w Krakowie. Obrona praw człowieka i obywatela jest naczelnem zadaniem „Epoki".

Panu Janowi L. w Warszawie. Już zaznaczyliśmy, że „Epoka" wyrzeka się wszelkich trywjalnych sensacji dziennikarskich.

Pani Janinie M. w Katowicach. Dziękujemy. Sprawy te będą jaknajczęściej poruszane w „Epoce".

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2675 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.